

ALEXANDER KRAUSHAR.

NEO-CYGANERYA WARSZAWSKA

Wspomnienia o ludziach i rzeczach literackich
z niedawnej przeszłości

(1780—1880).

525.



Biblioteka Dzieł Wyborowych
WARSZAWA

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska № 11



36581

H-122550

K.

27.4.68

<http://rcin.org.pl/ifis>

A. 182/68

W zapomnianej już dzisiaj, lecz, swego czasu, rozgłośnej „Historji literatury”, nieodżałowany Julian Bartoszewicz pochwycił trafnie i z talentem odtworzył jedną przelotną chwilę z dziejów umysłowego ruchu społeczeństwa warszawskiego doby nowszej, gdy gronko pisarzy młodych, rwąc się do życia i do rozgłosu, skupiło się było, w czwartym dziesiątku ubiegłego stulecia, około niepozornego organu literackiego warszawskiego i zaczęło budzić uśpione siły rówieśników do działania i do twórczości.

Po nieżyjącym już dziś „Przeglądzie” Skimborowicza pozostało wspomnienie owego hałaśliwego grona, do którego należeli: Roman Zmorski, Antoni Czajkowski, Włodzimierz Wolski, Bohdan Dziekoński, Jan Majorkiewicz, Teofil Lenartowicz, Alexander Niewiarowski, Wacław Szymanowski, Sierpiński, Józef Kenig, Filleborn i Norwidowie.

Tworzyli oni zamknięte kółko epigonów romantyzmu nowoczesnego.

„Wszyscy wrzeli życiem, na przesąd żadnego nie mieli względu. Chodzili umyślnie brudno i ubogo. Zgiełk wielki robili, nawet na ulicach”...

Pozostawili po sobie efemerydy, w rodzaju: „Nadwiślanina” i „Jaskółki”.

Wielu z nich wzniosło się następnie talentem ponad poziomy szarej powszedniości.

Inni, w czasach zawieruchy, rozbiegli się po szerokim świecie, zostawiwszy po sobie piękne wzory twórczości, w dziełach zarejestrowanych zaszczytnie na kartach dziejów literatury swojej.

Szczupła garstka z pomiędzy nich dożywa jeszcze w kraju i na obczyźnie resztek niezaprzeczanej swej ongi popularności.

*

*

*

W przeglądzie wspomnień o owych ludziach i czasach, do których, jako jeszcze nie stary i z zawodu nie dziennikarz, należeć nie mogłem, zatrzymałem i ja, za przykładem Bartoszewicza, spojrzenie przelotne na pewnej grupie osobistości ze świata literackiego i dziennikarskiego warszawskiego, która, w epoce niezbyt dawnej, bez określonej przewodniej myśli, bez wspólnego jakowegoś ideału estetycznego, również skupiła się była około pewnego pisma peryodycznego i, zamaszystością swoją, przez czas pewien, w społeczeństwie warszawskiem niepomierłą wywoływała wrzawę.

Nie stworzyła owa grupa literatów ani szkoły, ani wydatniejszego i określonego w umysłowym ruchu kierunku, nie stawiała sobie w działalności swojej pewnej wytycznej mety, nie trzymała ponad sobą znamienego sztandaru filozoficznych, lub też estetycznych przekonań, lecz, będąc odzwierciedleniem pewnych umiłowań chwili, chwyciła życie bieżące, potoczne, na gorącym uczynku, i, z tego już względu, dla historyi umysłowości swojskiej doby nowoczesnej może przedstawiać dla przygodnego badacza charakterystyczny do obserwacji materiał...

I.

Agonia Kuryera Warszawskiego. — Dmuszewski i jego następcy. — Karol Kucz. — Narodziny Kuryera Codziennego. — Pani Zabłocka. — Zaborowski. — Odyniec. — Reklama na scenie. — Codzienny górą! — Miron. — Układ Szymanowskiego z Gebethnerem i Wolffem. — Chęciński. — Alexander Walicki.

Skromna oficynka w dziedzińcu domu ongi pani Zabłockiej, corki Ludwika Dmuszewskiego, przy Placu Teatralnym w Warszawie, już dziś nieistniejąca, z rozłożystą akacją przed oknami i oszkloną werandą u drzwi wchodowych, stanowiła w końcu szóstego dziesiątka bieżącego wieku punkt zborny dla nielicznej garstki rozpoczynających dopiero zawód dziennikarski pisarzy, którzy umyślili, *viribus unitis*, dźwignąć do nowego życia, zamierający podówczas na galopujące suchoty, „Kuryer Warszawski” i zapomnianą nieco przywrócić mu popularność.

Niê zamierzam tu być historyografem w porządku chronologicznym owego organu brukowego. Nie sięgam zaczątków owego pisma, które, założone w zaraniu trzeciego lat dziesiątka ubiegłego wieku przez Brunona hr. Kicińskiego, a rozwinięte przez Dmuszewskiego, przetrwało lat kilkadziesiąt, pod sterem, mniej, lub więcej uzdolnionych redaktorów, z pomiędzy których, do roku 1863, był Karol Kucz najpopularniejszym i, z natury swego dziennikarskiego uzdolnienia, do prowadzenia owego pisemka najodpowiedniejszym.

Zatrzymuję się na epoce chylenia się ku upadkowi owego, ongi nader poczytnego, organu brukowego, co nastąpiło z chwilą założenia przez Kucza na własną rękę (w r. 1866), rywalizującego z „Warszawskim” Kuryera, tak zwanego — „Codziennego”

Powstanie owego sobowtóra na rynku dziennikarskim warszawskim nastąpiło w okolicznościach wyjątkowych i dosyć charakterystycznych.

Gdy wszystkim i wszystkiemu schlebiający, wszędzie mile widziany, względnie nawet dosyć popularny Kucz, ongi zręczny stylistą i rymopis, uniwersalny toaściarz, którego kieliszkowe rymy, w rodzaju:

A więc Panowie! bez czasu stratu
Pijmy zdrowie Magistratu!

obiegały miasto, wyjechał w r. 1863 na czasowy pobyt do Cesarstwa, osieroconym sterem „Kuryera

Warszawskiego” kierowały przez czas pewien sfery teatralne, przy współdziałaniu sędziwego Stanisława Bogusławskiego, autora „Starej Romantyczki”, Jana Chęcińskiego i ostatniego epigona klasycyzmu warszawskiego z epoki Mickiewicza — Dmochowskiego.

Powróciwszy do Warszawy, zgłosił się Kucz do właścicielki „Kuryera”, pani Zabłockiej, z propozycją ponownego objęcia redaktorstwa, lecz pod warunkiem, aby mu wypłacaną poprzednio w kwocie rsr. 600 pensję roczną podwyższono do rsr. 900; na co się pani Zabłocka, z uwagi na mierne dochody z prenumeraty, nie zgodziła.

Rozgniewany Kucz, zebrawszy resztki dawnej swej popularności i nieco grosiwa od życzliwych, założył pod własną firmą pismo brukowe: „Kurier Codzienny” i całą siłą pary puścił się w zawody, by zdystansować dawnego swego pupilka.

Ryzykowny ów, jak na ówczesne stosunki, krok, uwieńczony został nadspodziewanym powodzeniem...

Jak ów kometa „Biela”, rozszczepiony na dwie gwiazdy bliźniacze, powoli zatracił blask swój pierwotny i przeniósł go na towarzysza-przybłądę, tak też i „Kurier Warszawski”, z chwilą ukazania się „Codziennego”, zaczął zwolna ujawniać symptomata agonii, grożące blizką a niechybną śmiercią...

Złożyło się na to wiele przyczyn postronnych: zanik energii w kierownikach, do gazeciarskich

skiego zawodu nie uzdolnionych (Zygmunt Zaborowski, Antoni Edward Odyniec...), przedewszystkiem wszakże forsowne działanie przyjaciół „Codziennego”, by zapewnić nowemu Kuryerkowi poczytność w sferach towarzystwa warszawskiego.

Reklamowanie „Codziennego” stało się hasłem zwolenników i współbiesiadników Kucza i przybrało nawet jaskrawe formy publicznego znęcania się nad dogorywającym rywalem...

Raz, podczas przedstawienia farsy: „Ulicznik warszawski” na scenie Rozmaitości, aktor Damse zagroził ulicznikowi, że psie jego figle ogłosi w Kuryerze...

— A w którym? — pytał ulicznik.

— Naturalnie, że w „Codziennym”—brzmiała z góry ukartowana odpowiedź — bo „Warszawskiego” obecnie już i pies nie czyta!...

W rzeczy samej, pismo Kucza doszło do poważnej cyfry 6.000 prenumeratorów, a „Warszawski” — „zjechał”, mówiąc żargonem miejscowym, do skromniutkiej cyferki 327 płatników...

Wówczas to, młody i sympatyczny, podówczas zaledwie z lirycznych strofek drukowanych w tygodnikach, znany pisarz, Alexander Michaux (Miron) zgłosił się do pani Zabłockiej z propozycją wydzierżawienia na lat dziesięć „Kuryera Warszawskiego”.

Zabłocka, nie wiele mając do stracenia, chętnie się na tę propozycję zgodziła. Michaux udał się do Wacława Szymanowskiego, ten zaś,

do wydawców: Gebethnera i Wolffa i po nie długich rokowaniach stanął między owem konsorcjum a panią Zabłocką układ, którego mocą oddany został „Kuryer” w dzierżawę dziesięcioletnią za rsr. 1.500 rocznie, po upływie zaś tego czasu biegli oznaczyć mieli wysokość tenuty dzierżawnej.

Wacław Szymanowski przyjął na siebie redaktorstwo „Kuryera” za rsr. 900 rocznie, Gebethner i Wolff obowiazali się dostarczać papieru i wyjednać dla pisma kredyt w drukarni. Osiągniętym zyskiem dzielić się mieli wspólnicy stosunkowo; przyczem wszakże zastrzeżono, że stary Bogusławski pobierać będzie i nadal rsr. 600 rocznie.

Do redakcyi nowej, pod sterem Szymanowskiego, zawiązanej w r. 1868, wstąpili w charakterze współpracowników, w pierwszych latach: Michaux, jako sprawozdawca teatralny i artystyczny, Feliks Szober do wiadomości teatralnych, Urban Sobolewski do wiadomości prowincjonalnych; do polityki — Stanisław Krzemiński, do reporteryi miejskiej — Feliks Fryze, do sprawozdań sądowych — Kazimierz Łuniewski, do artykułików wstępnych społecznych — Kazimierz Zalewski; po powrocie zaś z wygnania — Władysław Bogusławski, jako współtowarzysz Stanisława Krzemińskiego. Z dawniejszych współpracowników utrzymali się w nowej redakcyi: Jan Chęciński, Aleksander Walicki, Heppen. Przystąpili nadto nieco później do współpracownictwa: Bliziński, Gomulicki, Br.

Reichman, Gawalewicz, Czapelski, Prus, Chodorowicz i Filipowski.

Zmiana gabinetowa w rządach Kuryera znamiionowała ważny w kierunku dotychczasowym -ego redakcyi przełom.

Schlebiający wszystkiemu, co „warszawskie”, organ, w którym, niedawno jeszcze temu, urzędnik sądowy, Janczewski, informował naród o polityce europejskiej, nadsyłając z początkiem każdego tyj godnia odrazu sześć przeglądów politycznych na każdy numer, w którym sprawozdania teatralne notowały wyłącznie: ile razy Żółkowskiego i Pan-czykowskiego przywołała na scenę rozbawiona publiczność, a treść pożywną numeru składały wiadomości o dziurawych mostkach ulicznych; naraz dostał się w ręce pisarzy, o urobionym estetycznym smaku, pragnących uczynić z anemicznego dziecka,—zdrowego i jędrnego chłopaka, ku codziennej obsłudze publiczności.

525.

II.

Pomyślne początki.—Frykcyę.—Aleksandrowicz i Statkowski.—Polemika z Gołosem.—Wzrost prenumeraty.—Nieporozumienia.—Ustąpienie Statkowskiego.—Zawieszenie wydawnictwa.—Herman Benni.

Ruchliwa gromadka współpracowników odrodzonego „Kuryera Warszawskiego” nie zakresliła sobie na razie żadnego programu, któryby temu organowi brukowemu miał nadać w przyszłości odmienny od dotychczasowego kierunek.

Miała ona przedewszystkiem na względzie literackie opracowywanie luźnych artykułków gazeciarskich, ich urozmaicenie i obfitość. Pilnowali estetycznej strony pisma tacy smakosze stylowi, jak Szymanowski i Jan Chęciński, a językowej — nieubłagany wróg wszelakich dziwołagów gramatycznych — Aleksander Walicki. Ten ostatni, z oblicza przypominający nieco szekspirow-

skiego króla Leara, przyjął na siebie ważny w ówczesnej rozmuzykowanej Warszawie dział sprawozdań z koncertów, lecz przede wszystkim czuwał nad czystością języka pisma, mającego czytelników wśród różnych sfer towarzyskich.

Szcześnie i dowcipnie przeprowadzona polemika z kilkoma znanymi w Warszawie osobistościami, przede wszystkim wszakże złota dla gazeciarstwa epoka wojny francuzko-niemieckiej, z której powodu obsługa telegraficzna dostarczała czytelnikom codziennie sporo zapasu sensacyjnych z pola bitew wiadomości, komentowanych trafnie i z zacięciem przez redaktorów politycznych „Kuryera”—wszystko to dawało owemu pismu pożądaną rozgłos i „Kuryer Warszawski”, do niedawna jeszcze traktowany z góry i z politowaniem przez współzawodników, powoli zaczął obrastać w pierze, t. j. w prenumeratorów.

W owym to czasie, skutkiem rozciągnięcia do Królestwa ogólnej *Ustawy o Cenzurze* i przeniesienia władzy cenzuralnej od Redaktora obu „Dzienników Warszawskich”, Mikołaja Pawliszcze-wa, do utworzonego komitetu Cenzury, wprowadzono czasową zmianę w przedstawicielstwie urzędowem obu pism brukowych.

Miejsce redaktora „Kuryera Codziennego”, Kucza, zajął Piotr Aleksandrowicz. Nie utrzymał się też przy sterze „Kurjera Warszawskiego” i Wacław Szymanowski. Wyszukano w jego miejsce lepiej widzianą u władz cenzuralnych oso-

bistość w Wincentym Statkowskim, radcy stanu, b. dyrektorze komory pogranicznej.

Ow Statkowski, człek nie bez zdolności pisarskich, jeżdżący na bałamutnym koniku politycznych poglądów, objąwszy redaktorstwo tytularne „Kuryera”, rozpoczął niebawem polemikę z „Gołosem”, w której, publiczność warszawska, odwykła już od lat wielu od artykułów politycznych, potrącających o najważniejsze zadania i sprawy krajowe, naraz znalazła obfite źródło do rozpamiętywań i budowała w fantazyi swojej nadpowietrzne zamki złudnych widoków i nadziei.

Skutkiem owej, prowadzonej z taktem i niezwykłą werwą pisarską, polemiki, znalazł się „Kuryer” niebawem w posiadaniu kilku tysięcy prenumeratorów, lecz, co więcej, artykuły jego zaczęły się odzywać głośniejszem echem w piśmie zamiejscowych; przytaczano je, zwalczano, polemizowano z niemi, a dawało to pismu niejaka powagę i pożądany rozgłos.

Zachęcony powodzeniem, zaczął sobie Statkowski zbyt seryo tłómaczyć własne stanowisko w „Kuryerze” i zapragnął nie żartem zepchnąć Szymanowskiego na szczebel jakiegoś przygodnego współpracownika, narzucając „Kuryerowi” bezwzględnie wolę swoją i kierunek redakcyjny.

Wywoływało to częste kolizye w łonie redakcyi, tłumione polubownie, jedynie gwoli zapewnieniu jako tako znośnego bytu pismu.

Lecz, o ile Szymanowski, z wrodzonym sobie taktem, pomijał milczeniem imprezy Statkowskiego, o tyle młodzież redakcyjna, jako młodzież trzpiotliwa i wesółą, nic sobie z wymuszonej powagi pana radcy stanu nie robiła i, po za jego plecami, wywracała istotne w stancyjce redakcyjnej koziółki...

Z powodu jakiegoś programowego artykułu Statkowskiego, nie licującego ze stosunkami miejscowymi, przyszło wreszcie do otwartego zerwania.

Redakcja „Kuryera” zaprotestowała przeciw zamieszczeniu owego artykułu, lecz pan radca Statkowski, w charakterze redaktora, domagał się bezwarunkowo jego wydrukowania. Gdy zgoda nie nastąpiła, Statkowski odmówił podpisu swego na korektach, do cenzury wysyłanych i od redaktorstwa się cofnął.

W myśl przepisów cenzuralnych, ustąpienie redaktora pociągało za sobą zamknięcie pisma.

Jakoż „Kurier Warszawski” przez parę miesięcy nie wychodził, a prenumeratorowie otrzymywali natomiast „Gazetę Handlową”.

Straty materyalne były wielkie, nieznaną przyczyną przepisów i środków obrony—jeszcze większa.

Wreszcie wydział prasy zatwierdził nowego redaktora, w osobie Hermana Benniego.

Ów b. pastor, człowiek zdolny i uczony, lecz do pracy dziennikarskiej zupełnie nie podatny, obudził zrazu między współpracownikami „Kurye-

ra" wielkie obawy, aby siłą swej uczoności nie zaciężył zbytńio na powiewnej szacie pisemka brukowego.

Obawy były pŁonne. Benni, oprócz sprawozdań z prelekcji publicznych, do redakcji się nie mieszał, a z chwilą uregulowania wewnętrznych stosunków obu „Kuryerów”, redaktorstwo objął na nowo urzędownie: w „Kuryerze Warszawskim”—Wacław Szymanowski, w „Codziennym” zaś—Karol Kucz.

III.

Obozy i kółeczka.—Wacław Szymanowski.—Wpływ Henryka Rzewuskiego.—Uczony a literat.—Kronikarz i feljtonista.—Rozezarowanie pana Wacława.—Interpelacya Świętochowskiego.—Odpowiedź Szymanowskiego.

W epoce, o jakiej tu mowa, nie istniały jeszcze, a przynajmniej nie tak jaskrawo, obozy literackie warszawskie, z różnobarwnemi chorągiewkami, wywieszonemi na nagłówkach pism, którym jako szyld służyć miały.

Rozpadnięcie się grona piszących na różne drobne kółka i kółeczka, z mniej lub więcej wybitną różnicą w zasadach i przekonaniach społecznych, politycznych i filozoficznych, było dziełem czasów późniejszych, gdy już zakorzenił się przesąd, że pisarz, ogłaszający swe prace w kilku, odmiennej barwy, organach literackich, zaliczony być winien do rodzaju hermafrodytów, bez

prawa zabierania głosu w sprawach i kwestyach natury ogólniejszej.

Lecz za czasów moich, zasada owa, choć może tkwiła w przekonaniach wydawców, zazdroszczących sobie wzajemnie współpracowników, jednakże, między tymi ostatnimi nie dawała nigdy powodu do uwag i refleksyj i każdy z nich drukował prace swe tam, gdzie go ciągnęły sympatye osobiste, stosunki z redaktorami, lub też upodobania własne.

Ciągle zmieniająca się i stopniowo zwiększana, lub też zmniejszana, gromadka współpracowników „Kuryera”, liczyła w epoce, między r. 1870 a 1880, literatów wszelakiej barwy i przekonań, uważając redakcyę tego pisma za terytoryum neutralne, gdzie każdemu wolno było rozkładać swe penaty, pod warunkiem, że się pozbędzie tornistra ciężkich, naukowych przyborów i będzie przez chwilę tak lekkim i powiewnym, jak atmosfera pisma, liczącego swoją poczytność na dni i godziny swego pojawienia.

Prowodyrem owej różnobarwnej grupy pracowników był redaktor Wacław Szymanowski, poeta i dziennikarz wyższego autoramentu, zaprawiony na tradycyi swego zawodu w szkole autora „Listopada”, który skupił ongi około wydawanego przez siebie, w piątym lat dziesiątku naszego wieku, „Dziennika” wszystkie wybitniejsze pióra i wytworzył liczny zastęp pracowników na polu literatury peryodycznej.

Wpływ Rzewuskiego, o ile w sferze poglądów ogólniejszych był, swego czasu, ujemnym, o tyle, pod względem techniki pisarskiej i kolorytu stylowego, miał niezaprzeczenie wartość dodatnią.

Na nim wzorowało się liczne pokolenie pisarzy, którzy, postanowiwszy porzucić francuzki sposób pisania, starali się o dobór wyrażenń swoich, oryginalność i zamaszystość stylu, przypominające lepszą piśmiennictwa krajowego dobę.

Warunki edukacji ogólnej, w jakich się obracało przez kilka lat dziesiątków pokolenie nowsze, po roku 1830, stawały wielkie utrudnienia studjom uniwersyteckim. Cała — rzecz można — generacya pisarzy z owej epoki, z nielicznymi zaledwie wyjątkami, należała do kategorii autodyktów, którym tylko wrodzone zdolności pisarskie i rodzaj literatury, jaki uprawiali, pozwoliły dobić się rozgłosu i wydatniejsze w umysłowym ruchu kraju zająć stanowisko.

Należał do tej kategorii i Wacław Szymanowski.

Nie przeszedłszy studyów uniwersyteckich, dających na życie całe pewien podkład systematycznego i gruntowniejszego wykształcenia, starał się Szymanowski braki swej edukacji fachowej wypełniać pilnem czytaniem i urabianiem smaku literackiego, według gotowych wzorów, z drugiej ręki czerpanych.

Zdolności lingwistyczne, jakimi niezaprzeczenie celował, pozwalały mu czerpać z tychże

wzorów, wyrażeń i zwrotów jędrnych i dobitnych; gruntowna zaś znajomość języka francuzkiego, potocznego, nadała stylowi jego tę feljetonową lekkość i powab, stanowiące nieodzowne warunki poczytności każdego dziennikarza.

Szymanowski uczonym nie był, w tem przynajmniej znaczeniu, jakie pracownicy c e c h o w i wyrażeniu temu nadawać zwykli.

Wiadomości jego naukowe gruntowały się na kompendyach dostępnych i opracowaniach pisarzy lżejszego pokroju; lecz wiadomości te, uzupełnione intuicyą i talentem, nacechowały prace Szymanowskiego podkładem faktycznym, wyłączającym powierzchowność, znamionującą zazwyczaj prace samouków.

W warunkach pomyślniejszych edukacyi ogólnej może byłby Szymanowski stanął na wyżynie odpowiedniejszej pisarskim i twórczym zdolnościom, jakimi był uposażony. Jako poeta i dramaturg zająłby poczesne miejsce na Parnasie; jako baczny obserwator spraw życiowych swego społeczeństwa, mógłby pozostawić trwalsze jakie ślady w literaturze... W tych wszakże warunkach, w jakich się umysł Szymanowskiego rozwijał za młodu, był on i pozostał wszystkim—po trosze... Był poetą i dramaturgiem cenionym wielce, lecz bez wydatniejszego kolorytu. Był zręcznym sprawozdawcą faktów potocznych; był pisarzem czy-

tanym chciwie, lecz bez pozostawienia po sobie dzieł trwalszej wartości.

W ogólnej sumie długoletniej swej działalności pisarskiej, był Szymanowski i pozostał feljetonistą, martwiąc się niezmiernie owym stanowiskiem drugorzędnym w literaturze, które daje wprawdzie poczytność chwilową i popularność, lecz nie daje tytułu do oddzielnej kartki w historii umysłowości społeczeństwa.

Pamiętam dobrze tę chwilę gorzkiego rozczarowania pana Wacława, gdy po ukazaniu się „Historji literatury” Bartoszewicza, znalazł się w niej pomiędzy zręcznymi „tłómaczami rymów Ponsard’a”, on, który mniemał, że go dziejopis zaliczy niewątpliwie do ulubieńszych i prawych Apollina synów!...

Druga taka chwila rozczarowania spotkała Szymanowskiego, gdy go Aleksander Świętochowski, podówczas jeszcze w „Przeglądzie Tygodniowym” pracujący, w głośnej kampanii swej, jaką przeciw pisarzom starego autorameutu był rozwinął, zapytał publicznie o tytuły literackie do reprezentowania piśmiennictwa polskiego na kongresach literackich.

Rozżalony i dotknięty do głębi w swej wysoko mierzącej ambycji pisarskiej, zdecydował się Szymanowski zebrać wszystkie swe poetyckie prace z lat ubiegłych i wydał je własnym na-

kładem, jako dowód, że kto w ciągu swej dziennikarskiej karyery mógł się zdobyć na kilka tomów prac oryginalnych i tłómaczonych, ten zasługuje na mandat przedstawicielski na międzynarodowej literackiej arenie.

IV.

Aspiracye i ambicyjki pana Wacława.—Niezrównany deklamator. — Karkołomne rymy.— Produkcye rymów białych. — Audytoryum Szymanowskiego.

Jako człowiek, należał Szymanowski do najlepszych sercem, jakich mi się kiedykolwiek w życiu napotkać zdarzyło.

Z nieschodzącym z ust dobrotliwym uśmiechem gotów był zawsze służyć, pomagać, radzić wszystkim, którzy się do niego o pomoc zgłaszali. Powiedziałbym nawet, że ilekroć pan Wacław przybierał, lub chciał przybrać minę poważną i seryo, widziano w nim przymus i—maskę... Śmiech gardłowy, urywany, przez zaciśnięte cedzony zęby i figlarne, przymrużone oczy, stanowiły charakterystyczną właściwość, nie powabnej, lecz bardzo sympatycznej, fizyonomii Szymanowskiego. Przy akompaniamencie owego śmiechu

sardonicznego wygłaszał on nieustannie anegdotki, bądź zasłyszane niegdyś od Rzewuskiego, bądź z własnego, ongi kawalerskiego żywota zaczerpnięte, które zawsze chętnych znajdowały słuchaczy.

A lubił Szymanowski, aby go słuchano i podziwiano. Przysłonięte mając oczy na braki własnej, nie obfitującej we wszystkie zgłoski alfabetu, wymowy, zdawało się panu Wacławowi, że nikt lepiej od niego nie byłby w stanie recytować wierszy ulubionych poetów.

Miał repertuar poezji bardzo obfity i pamięć niepoślednią.

Zawsze otoczony gronem pisarzy młodszych, uważał się za duchowego ich sterownika i nie szczędził rad, zwłaszcza tym, którzy się doń zwracali po opinię o wierszowanych utworach. Uważał się przytem za mistrza poetyckiej formy, którą, w rzeczy samej, opanował, jak mało który ze współczesnych rymopisów.

Chociaż poezya Szymanowskiego nie wybujała nad poziomy i nie zaznaczyła się na Parnasie trwalszymi wzorami, jednakże nie można jej odmówić wyższego nastroju.

Nie było trudnej formy i rytmu, którychby nie pokonał, siłą tej dziwnej intuicyi, która zastępowała w nim braki systematycznych studyów.

Obdarzony delikatnem poczuciem piękna, nie lubił chadzać utartymi szlaki, lecz sam sobie

torował drogę i wynajdywał przeróżne łamańce językowe. Zwłaszcza dobór rymów najniespodziewańszych, czerpanych z bogatego słownika wyrazów swojskich, zadziwiał czytelników, przypominając im metodę wagnerowską, która, z najprzeciwleglejszych tonów, potracających niemal o kakofonię, dobywa akordów zgodnych, zlewających się w *finale* we wspaniałą harmonię dźwięków.

Przekonanie o wyższości swojej nad rówieśnikami po piórze, pod względem znawstwa architektониki wiersza i umiejętnego jej stosowania, w oryginalnych i tłómaczonych utworach, nie przeszkadzało Szymanowskiemu witać z radością każdy nowo pojawiający się talent.

Uczucie zawiści, wrodzone potrosze wszystkim bez wyjątku rymopisom, uważającym się za osobiście pokrzywdzonych, gdy nowa jaka siła poważy się uderzyć z powodzeniem w struny liry i pogłaskać uszy słuchaczy harmonijną pieśnią—było panu Wacławowi obcem...

Znalazłszy godnego rywala na polu rymotwórstwa, nie szczędził mu pochwał (obok nieodzownych, rozumie się, uwag, ze stanowiska mistrza formy) i sam przyjmował na się rolę kolportera sławy nowego talentu.

Uważało się to za dowód uznania ze strony Szymanowskiego, gdy poezję, ocenioną pochlebnie, odczytywał głośno, z właściwym sobie patosem, przyczem, naturalnie, nie obywało się bez

koniecznych reform w rytmie i rymie, improwizowanych na prędcie, w obecności zdziwionego takim nadspodziewanemi inowacyami autora.

Szczególniejsza organizacja petyckiego umysłu Szymanowskiego, zdolna do odnajdywania *stante pede* najharmonijniejszych rymów, pozwalała mu na wyścigi improwizować, na zadany temat, nieraz bardzo długie wiersze.

Jako nieprzyjaciel wszelkich rymów białych, którym odmawiał zupełnie prawa obywatelstwa w poezji, zakładał się Szymanowski niejednokrotnie, iż będzie w stanie przez kilka godzin recytować najpoważniejsze monologi.

Jakoż, zasiadłszy w rogu redakcyjnej, silnie sfatygowanej sofy włosianej, wygłaszał pan Wacław przez godziny całe skandowane rymy białe, ku ucieście i zachwytowi zgromadzonego koła słuchaczy.

V.

Życie redakcyjne. — Bibki. — Pianino urzędowe. — Sienkiewicz. — Bliziński. — Anczyc. — Jenike. — Ojciec Wincenty. — Leo. — Felicjan. — Reprezentant prenumeratorów. — Niespodzianka. — Odyssea wydawców. — Nowa maszyna. — M a n m u s s p u t z e n! — Zgon Zabłockiej. — Format nowy.

Redakcyjna młodzież „Kuryera”, poczuwszy się na siłach, ze zdwojoną gorliwością zabrała się do pracy, by nadać organowi brukowemu charakter pierwszych skrzypiec w orkiestrze prasy warszawskiej.

Utworzyła ona niejako ognisko, przy którym kupiły się wszystkie rwące się do publicystyki orleńta.

Życie towarzyskie, wesole bibki Kuryerowe, niewyczerpany zapas plotek i anegdotek miejskich, ścigały codziennie, w godzinach południo

wych, zastępy przyjaciół „Kuryera” do małej stancyjki redakcyjnej, w której znalazło miejsce nawet pianino, dla pokonywaczy palcołomnych ćwiczeń klawiszowych. Śniadania, złożone z obowiązkowych serdelków i świeżych bułeczek, a czasami i kawy gorącej, urządzone bywały sumptem składkowym, lub też ofiarnością kolejnych fundatorów, choć, zdarzało się, że pan Wacław, na którego kolejną wypadło być fundatorem, czasami dowcipnie na owe agapy się spóźniał... ku rozczarowaniu zbyt rozrzutnych śniadankowiczów Kuryerowych.

Do grona gości redakcyjnych należał i Sienkiewicz, w tornistrze którego, jako szeregowca literackiego, spoczywała już wówczas marszałkowska laska przyszłego autora „Szkiców węglem.” Gromadzili się na redakcyjnych bibkach matadorowie literaccy: chudy i kościsty redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”, Jenike; obrosły jak żubr z puszczy Białowieskiej — Wincenty Korotyński; pokrzywionego, jak stary pantofel, nosa, lecz z gwiazdą Tyrteuszowego natchnienia na czole, Wł. L. Anczyc; dogmatyczny i niedopuszczający opozycji w poglądach na politykę Europy, Józef Kenig; uśmiechnięty, figlarny i tworzący na poczekaniu kawalerskie dowcipy, Edward Leo; surowego jak księżę Alpa wejrzenia — poeta Felicjan; piszący te słowa, ozdobiony, wskutek plebiscytu młodzi redakcyjnej, tytułem — „reprezentanta prenumeratorów”; sympatyczny

tyczny poeta Floryan (Rzętkowski); Edward Lubowski; Maleszewski Władysław i wielu innych.

Młódź redakcyjna Kuryera coraz natarczywiej zaczęła domagać się zwiększenia formatu pisma, by módz rozmachowi swych piór dać większą przestrzeń do zapasów.

Szymanowski w przesądnym konserwatyzmie opierał się, jak mógł, owym zachciankom, tłómacząc się jakimiś nieodgadnionemi kombinacyami wydawniczemi, w moc których, w miarę zwiększania się liczby ogłoszeń, straty materyalne będą większe...

Na dnię jednak owej oporności, przeciw reformatorskim planom Kuryerowej młodzieży, tkwiła głęboka nieznanomość praktycznej strony wydawnictwa, która i w takich doświadczonych wydawcach, jak Gebethner i Wolff, prawie że z naiwnością graniczyła...

Ani Szymanowski, ani jego współnicy, nie byli mistrzami w rachunkowości. O zyskach, jakie zaczął przynosić Kuryer, dowiedzieli się—jak zapewnia jeden z wtajemniczonych — prawie, że przypadkowo. Gdy pewnego razu Szymanowski zgłosił się do kasy z trwożliwem zapytaniem: czyby się nie dało wziąć z niej tytułem forszusu paręset rubli? i tę kwotę bez trudności otrzymał, i gdy Gebethner z jednej, a Wolff z drugiej strony, również jakiejś zaliczki zażądali i tę im bez żadnych korowodów wypłacono — zaczęli się współnicy domyślać, że Kuryer w rzeczy samej

przynosi jakieś dochody... Jakoż, sprowadziwszy biegłego rachmistrza, Piotrowskiego, przystąpili do obliczeń i repartycyi dochodu, i przekonali się, ku najwyższemu zdziwieniu, że na udział wspólników przypada czystego zysku—kilkanaście tysięcy rubli!

Pan Waclaw tak się owym rezultatem uradował, że, zaprosiwszy zaraz paru współpracowników do Stępkowskiego, uraczył ich i siebie ćwiartką porteru i ósemką kawioru...

Zaczęto na seryo myśleć o sprowadzeniu nowej maszyny drukarskiej.

Pojechał tedy Gebethner za granicę, obejrzał maszynę i powrócił do Warszawy. Za nim wybrał się i Wolff, również obejrzał maszynę i powrócił. Pojechał i pan Waclaw sam, opukał maszynę i powrócił. Wybrali się następnie we dwójkę, później we trójkę i, po kilkakrotnem oglądaniu maszyny, sprowadzili ją nakoniec z Erfurtu.

Zapiszczała maszyna i po niedługiem funkcjonowaniu—ustała. Sprowadzono maszynistę od Ungra, który orzekł, że: *die Maschine muss geputzt werden*. Pucowano tedy oporną maszynę kilkakrotnie i płacono za każde pucowanie po 3 ruble, a Niemiec wciąż powtarzał: *man muss putzen...*

Wreszcie maszynę kupił Unger, a panowie wspólnicy, po wielu nowych, nieudanych próbach

i wyjazdach, sprowadzili od Marinoniego maszynę, ogrzewaną gazem.

Gdy już owa maszyna na dobre rozgościła się w oficynie Kuryera i gazowemi wyziewami napoiła mózgi i nosy pracowników, rozpoczęły się na nowo targi o zwiększenie formatu pisma, lecz gdy i te nie poskutkowały, postanowiła młodzież zbuntować się i pewnego dnia, gdy już należało odbitki puścić na prasę, znalazła się w pełnym komplecie na dziedzińcu przy studni i urządziła s t r a j k.

Zdziwiony Szymanowski biegnie do redakcyi z zapytaniem, dlaczego korekty jeszcze nie sporządzone, a maszyna gazowa syczy, a nie burczy?

Usłyszawszy, że w redakcyi bunt i że młodzież odmawia dalszych posług, domagając się zwiększenia formatu pisma, śpieszy pan Wacław do strajkujących i zaklina na wszystkie świętości, by zaprzestano owej niebezpiecznej zabawy.

Wreszcie, po wielu przekomarzaniach, zawarto słowne pacta conventa z redaktorem i pan Wacław, prawie ze łzami w oczach, ustąpił...

Dziwnym zbiegiem okoliczności, tegoż samego dnia, gdy z domu, w którym mieścił się „Kuryer”, wyprowadzano trumnę pani Zabłockiej, córki Dmuszewskiego, chłopaki kuryerowe wybiegły na miasto ze zdwojoną objętością „Kuryerem Warszawskim”, który od owej chwili, w no-

wym formacie zaczął się ukazywać *urbi et orbi...*

Nadspodziewane powodzenie pisma oddzia-
łało, jeszcze za życia Zabłockiej, na zmianę wa-
runków jego wydawniczych. Był czas, gdy o po-
zyskanie własności „Kuryera” ubiegał się i re-
staurator Antoni Stępkowski, osobistość ruchliwa
i przedsiębiorcza, o której „Świąteczny”, biorąc
asumpt z płyt miedzianych, jakie w oknie sklepu
pana Antoniego obok homarów leżały i czyniąc
aluzyę do częstego jego pochrząkiwania, śpiewał:

W jednym oknie homar siedzi,
W drugim leży kupa miedzi,
A gospodarz z rudą bródką,
Hm, hm! Hm, hm! chrząka krótko.

Trudno jednak było połączyć śniadankowe
kłopoty z wydawniczymi aspiracjami.

— Ja bym tam kuryerka kupił—mawiał Stęp-
kowski—ale cóż, kiedy ja tam o w y c h k a w a ł -
k ó w układać nie umiem...

Skończyło się na samym projekcie, a dzier-
żawcy „Kuryera”, stawszy się jego właścicielami,
za niewielką stosunkowo sumę, spłacili udział
Mirona i utrzymali się wraz z Bogusławskim, któ-
ry $\frac{1}{12}$ w całości udziałów posiadał, przy dalszem
jego wydawnictwie.

VI.

Pan Wacław u siebie. — Fatersztul, szlafrok i fez. — Wspaniała kolekcya cygarniczek. — Kij Paracelsa. — Mistycyzm Szymanowskiego. — Ekierki, seanse i wirujące stoliki. — Sędziwój. — Kuryer a Kuryerek. — Jubileusz Kucza. — Totek Lebrun. — Zemsta. — Popiel i Kucz.

Godziny bytności Szymanowskiego w kole redakcyjnem schodziły na nieustannych żartach niewyczerpanego w dowcipnych pomysłach redaktora.

Nigdy nie zastawano go w redakcyi z piórem w ręku, przy biurku. Artykuły własne, których bardzo wiele, każdodziennie prawie, drukował w swym dzienniku, prace większe, zamieszczane w tygodnikach miejscowych, poezye oryginalne, lub tłómaczone, przygotowywał Szymanowski w prywatnym swym, z komfortem urzędowym gabinecie własnego mieszkania, otoczony

stosami gazet, książek najświeższych i listów, nadsyłanych gromadnie ze wszystkich okolic kraju.

Pracę pisarską miał Szymanowski bardzo łatwą. Pióro jego ślizgało się po papierze, bez wysiłku, czerpiąc na zawołanie z mózgownicy swego kierownika zwroty i okresy pożądane.

Pisząc w wygodnym *fatersztulu*, w barwistym *szlafroku*, z tureckim, ponsowym *fezem* na głowie, gawędził pan Wacław z rodziną i licznymi gośćmi, kręcił papierosy w palcach, osadzając je misternie w najprzeróżniejszych cygarniczkach, których całe kolekcje przed nim leżały, w towarzystwie rozmaitego kształtu i wielkości portmonetek i papierośnic.

Do każdego przedmiotu, choćby najniepozorniejszego, przywiązana była jakaś tradycja, jakieś przypomnienie wesółych, lub smutnych chwil życia. O każdym z nich przytaczał na zawołanie jakiś szczegół ciekawy, lecz najbardziej pieścił i pielęgnował grubą, niepozorną laskę, opatrzoną niezliczonym mnóstwem garbów, o rękojeści dziwnie pokrzywionej.

Był to, jak zapewniał, kij Paracelsa, obdarzony magiczną siłą robienia równoległych sińców na grzbietach historyków literatury i krytyków...

Do ukrytych sprężyn poetyckiej twórczości Szymanowskiego zaliczał się i szczególniejszego rodzaju mistycyzm, który, w skojarzeniu z dewocyjnym nastrojem umysłu p. Wacława, czynił zeń, w pewnych chwilach, rodzaj natchnionego, fana-

tycznego, wierzącego we wszelkie gusa i przepowiednie fakira, mającego, jakoby, najzażyłsze ze światem gnomów i duchów stosunki.

Najulubieńszym przedmiotem rozmów Wacława było — życie zagrobowe, pełne uroków i tajemnic niewiadomego...

Wpadłszy raz na temat duchów i zjawisk pozagrobowego życia, rozwijał Szymanowski szereg dowodów, przemawiających jakoby za rzeczywistością zjawisk, wytworzonych w bujnej jego wyobraźni.

Miał całą bibliotekę dzieł, traktujących o tajemniczym świecie duchów. Sam wierzył w kręcące się stoliki, samopiszące ekierki i zaufanym swoim urządzał *seanse*, które, jakkolwiek często zawodziły, nie odejmowały wszakże reżyserowi wiary w ich prawdomówność i skuteczność...

Przyczyn owego mistycznego nastroju wierzeń Szymanowskiego należy szukać w bardzo drobiazgowych badaniach, jakie w pewnej dobie życia swego prowadził był nad dziejami Sędziwoja, któremu, oprócz bardzo pięknego dramatu, poświęcił i oddzielną, — może najpracowitszą ze znanych dotąd o Sędziwoju — monografię, drukowaną ongi w „Tygodniku Ilustrowanym”.

Przy refleksyjnym wszakże i mistycznym nastroju umysłu, należał Szymanowski do najweselszych i najbardziej z wesołej strony biorących życie jednostek.

Drobiazgi życiowe zajmowały go bardzo silnie.

Ze stanowiska swego, jako redaktor popularnego organu dziennikarskiego, zajmował się wszystkimi objawami społecznego życia i sam chętny w tem życiu przyjmował udział.

Życie rodzinne, towarzyskie i literackie wypełniało wszystkie chwile dziennych jego zajęć.

Począwszy od świata arystokratycznego, od finansów, aż do życia ludowego i cygańsko-literackiego, wszędzie obracał się Szymanowski z dziwną łatwością, lecz czuł się dopiero naprawdę między swoimi, gdy się widział otoczonym gronem młodzieży, wstępującej w szranki literackiego zawodu. Tutaj lubił grać rolę mentora i przewodnika, szafując radami i przestrogami, czerpanemi z długiej swej praktyki literackiej.

Powtarzano o Szymanowskim, że posiadał wygórowane uczucia ambicyi i miłości własnej, graniczącej z fanatycznym rozmiłowaniem się w swoich zaletach i zasługach...

Jeżeli tę cechę postawić na gruncie czysto ludzkim, to trudno nie przyznać, że miłość własna Szymanowskiego nie przekraczała granic wrodzonego każdemu, bez wyjątku człowiekowi, samolubstwa. Lecz z tą cechą łączyło się w panu Waclawie i przeświadczenie o wyjątkowej popularności stanowiska redaktorskiego, jakie zajmował, przeświadczenie, które czasami przybierało

formy jaskrawe wyniosłego traktowania współzawodników i ściągało nań gromy ze strony obozów przeciwnych.

Głośnem pozostało oburzenie Szymanowskiego, gdy „Przegląd Tygodniowy” nazwał pismo jego nie „Kuryerem”, lecz „Kuryerkiem”... Zbyt żarliwa, ambicyjna, a trochę niezręczna obrona tytułu pisma, które pragnęło koniecznie dobić się znaczenia *Weltblattu*, sprawiła, że odtąd, w polemice, chcąc dokuczyć „organowi z Placu Teatralnego”, nie inaczej go nazywano, jeno — „Kuryerkiem”.

Kiedy przypadł był jubileusz dwudziestopięcioletniej pisarskiej działalności Kucza, przyjaciele i współbiedniacy pana Karola postanowili uczcić tę uroczystość publicznym bankietem. Prowodyrem owej manifestacji był sympatyczny meloman, ś. p. Totek Lebrun, osobistość niezmiernie ruchliwa, mile w kołach towarzyskich warszawskich ongi przyjmowana.

Grono „Kuryera Warszawskiego” znalazło się wobec owego jubileuszu w dosyć drażliwym położeniu...

Absenteizm pana Wacława mógłby nań ściągnąć zarzut jakiejś zawiści względem rywala... Udział zaś w uroczystości koteryjnej—nie bardzo dogadzał młodzieży redakcyjnej „Kuryera Warszawskiego”... Po długich jednakże naradach, stanęło na tem, by Totkowi Lebrunowi napisać

list zbiorowy, w którym wyrażono gotowość przyjęcia udziału w jubileuszu Kucza ze strony „Kuryera Warszawskiego”, w osobie redaktora.

Nadspodziewanie, gotowość ta nie znalazła oddźwięku w obozie przeciwnym...

Nadesłano Szymanowskiemu list, w którym Totek Lebrun, imieniem inicjatorów jubileuszu oświadczył, że ponieważ uroczystość Kucza będzie miała charakter czysto rodzinny, uświetniony obecnością wyłącznie *najżyyczliwszych* jubilatowi osób, z tego względu, nie byłoby tu na rękę inicjatorom, aby w gronie biesiadników znajdowali się przedstawiciele współzawodniczącego organu.

Młodzież „Kuryera Warszawskiego” wobec tej odprawy zawrzała oburzeniem. Postanowiono pomścić zniewagę, lecz o środki zemsty trudno było na razie...

Wówczas Szymanowski powziął dowcipną myśl skarykaturowania jubileuszu Kucza, przez nadmierne jego wysławianie, a że właśnie w tym roku przypadał jubileusz dwudziestopięciolecia pracy baletnika Popiela, napisał tedy Szymanowski napojony gryzącą ironią artykuł, pod tytułem: „Dwaj jubilaci”, w którym, zestawiając uzdolnienie Kucza i Popiela, zręcznie przeprowadził porównanie między karkołomnymi piruetami nożnymi i umysłowymi obu jubilatów...

VII.

*Przyboczni pana Wacława.—Nieproszony sekretaryat.—
Podróż do Lublina.—Inżynier i jego pomocnicy.—Anty-
kwaryusz.—Dziwna ignorancya.—Brajbisz!—Stabostki
szykowca.—Komplecik Gawalewicza.*

W wysokomiernej swej redaktorskiej ambicyi, lubił się Szymanowski otaczać towarzystwem młodych i przedstawiać ich w charakterze sekretarzy redakcyjnych.

Do wycieczek na prowincyę, lub do Krakowa, zapraszał zwykle paru młodszych literatów, którym obiecywał stosunkami swymi ułatwić wstęp do kół towarzyskich i na zebrania publiczne, a gdy nadzieja spędzenia z wesołym i sympatycznym towarzyszem podróży kilku dni przyjemnych, nie jednego do takich wycieczek zachęcała, dowiadywali się oni później, ku najwyższemu zdziwieniu, że pan Wacław poufnie przedstawiał ich

wszędzie jako swych — sekretarzy przybocznych.

Nie czyniło to bynajmniej ujmy takim improwizowanym na prędcę sekretarzom, którzy następnie sami o takiej pozyskanej niespodziewanie i... gratisowo godności, śmiejąc się, rozpowiadali; lecz rys ten malował dosadnie aspiracye pana Waclawa do otaczania się nimbem redaktorskiej wszechwładzy i do szerzenia przekonania o wyjątkowym wpływie organu dziennikarskiego którego był przedstawicielem.

Zdarzyło się raz, iż na otwarciu kolei Nadwiślańskiej wybrał się był p. Waclaw do Lublina, rozumie się, w towarzystwie paru literatów młodszych. Kiedy go w hotelu Victoria zapytano o nazwisko i powołanie, Szymanowski ze zdziwieniem zmierzył od stóp do głów pytającego, jakby go chciał ukarać za dziwną ignorancję, iż nie wie, że ma do czynienia z... redaktorem „Kuryera Warszawskiego”.

— Jestem Szymanowski—odrzekł krótko— a ci panowie są moimi współpracownikami...

Jakoż bezzwłocznie na tablicy hotelowej zamieszczono ogłoszenie: iż przybył do Lublina W-ny Szymanowski, inżynier, z swymi pomocnikami.

Innym razem, spacerując z młodym towarzyszem po mieście, zaszedł pan Waclaw do pewnego antykwaryusza, lecz, wchodząc do skle-

pu, nie zaniedbał uprzedzić swego towarzysza, iż go ów antykwaryusz niewątpliwie zna dobrze, jako sławnego pana redaktora „Kuryera.”

— Pan zapewne mnie poznaje?—zapytał pan Wacław księgarza.

Antykwaryusz zakłopotany zaczął się przyglądać przybyłemu i—milczał.

— No, pomogę panu... Plac Teatralny...

Antykwaryusz ciągle milczał.

— No, wprost Teatru... na Wierzbowej ulicy...

— Aha! wiem już! — zawołał rozradowany antykwaryusz—pan jesteś... B r a j b i s z!

Przytaczam te anegdotki nie dla ośmieszenia pamięci zacnego człowieka i pisarza, którego, na równi z wieloma, kochałem szczerze, lecz dla uwydatnienia owych drobnych rysów charakteru, składających się na duchową organizację wybitniejszych osobistości, które, przechodząc z ust do ust, tworzą z czasem w pamięci pokoleń legendę, nie przynoszącą ich sławie i zasługom najmniejszej ujmy.

Szymanowski miał swoje śmieszności i upodobania, jak je ma każdy z ludzi, co to własną pracą i talentem wybili się ponad poziom powszedniości i zwracają na siebie uwagę ogólniejszą.

Do takich, między innymi, cech i słabostek Szymanowskiego, należało przeświadcze-

nie, iż nikt lepiej i gustowniej nadeń się nie ubierał...

Choć, pod tym względem, jeden lub drugi, w poufnych między sobą zwierzeniach, pozwalali sobie wynurzać pewną wątpliwość, jednakże nikt nie śmiał głośno przeczyć Szymanowskiemu, iż, w rzeczy samej, pod względem s z y k u, stanowi on wzór naśladowania godzien.

Każdy, ściślej z Szymanowskim zestosunkowany pracownik, musiał przechodzić ogniową próbę podziwu nad wytwornym smakiem ubiorów pana redaktora, każdemu udzielał rad i wskazówek, jak i gdzie ubierać się należy, aby dorównać szykiem i formą niedościgłemu pierwowzrowi..

Kiedy przybył do Warszawy młodzieńki podówczas pisarz, Gawalewicz, i przyjęty został w poczet pracowników „Kuryera”, pan Wacław uznał za konieczne objaśnić nowego towarzysza, iż mody galicyjskie zupełnie są nieodpowiednie dla bruku warszawskiego i sam podjął się być mu przewodnikiem w wyborze gustownego „garnituru.”

Wybrali się tedy we dwójkę do Juszczyka, gdzie, według wskazówek mistrza, dobrano odpowiedni „komplecik”, w który też, bezzwłocznie, ku zachwytowi pana Wacława, ubrał się młody Telemak, wysupławszy ze skromnej sakiewki całkowitą za ów listek figowy należność.

Wychodzą obaj towarzysze na ulicę, podzi-

wiając się wzajemnie, gdy wtem zbliża się do nich znajomy redaktora.

Po pierwszych słowach powitania zwraca się pan Wacław do przybyłego, ze słowami:

— Patrz i podziwiał, jaki śliczny komplecik kupiłem memu współpracownikowi!

Tableau!

VIII.

Przed burzą.—Artykuł Lubowskiego.—Kampania młodszych.—My i oni!—Juste milieu.—Wewnętrzne ulepszenia.—Honoraria.—Jubileusz Szymanowskiego.—Toast palestranta.

Kiedy rozpoczął się był w sferach umysłowych nowszego pokolenia ruch w kierunku pozytywnym i kiedy coraz częściej i gęściej zaczęły z obozu pozytywistów padać strzały między przedzonedą silnie falangę starszych pisarzy, grożąc zupełnem rozbiciem zasług i rozgłosu weteranów literackich dawniejszej epoki—Szymanowski przez chwilę wahał się w wyborze drogi, jaką wobec tej wyprawy obrać mu należało.

Rozpocząwszy od gwałtownego ataku, skierowanego przeciw „prasie rewolwerowej” (*vide* głośny swego czasu artykuł Lubowskiego), uosobionej, wedle twierdzenia „starych”, w „Przeglądzie

dzie” Wiślickiego i w polemicznych artykułach ówczesnych Świętochowskiego, powoli zaczął Szymanowski nabierać przekonania, że nie do niego, jako do przedstawiciela organu popularnego, należy walczyć z prądami i kierunkami umysłowego ruchu społeczeństwa.

„Kuryer”, jako pismo przeważnie brukowe, przenikające do wszystkich warstw i kółek towarzyskich — tak począł rozważać radaktor — powinien być odzwierciedleniem wszystkich objawów chwili... Rozwinięcie sztandaru pewnej określonej idei mogłoby odstręczyć przeciwników tej idei od czytelnictwa i zaszkodzić powodzeniu szybko wznoszącego w popularność pisma.

Wybrał tedy Szymanowski drogę pośrednią i, nie przechylając się ani na jedną, ani na drugą stronę, postanowił stać jedynie na straży tych ideałów, które dla wszystkich, bez różnicy, stronnictw literackich miały zawsze powagę nienaruszalnej świętości.

W szeregu reform, jakie w układzie swego pisma zaprowadził, począł od drukowania drobnych artykułów wstępnych, w których poglądy swoje, przeważnie charakteru etycznego i obyczajowego rozwijał.

Szymanowskiego zasługą niepomierną pozostanie reforma pracy dziennikarskiej pod ekonomicznym względem, ustalenie zasady, że praca ta, jak każda inna, wymaga wynagrodzenia; że epoka darmocho literackich, zwłaszcza w pismach,

które karmią się udziałem wszystkich chętnych do notowania objawów życia codziennego, bezpowrotnie minąć musi. Stał się też „Kuryer” źródłem przyzwoitych dochodów dla literatów zawodowych i środkiem utrzymania nie jednego z początkujących pisarzy, a nie było rzadkością, iż i studenci Szkoły Głównej chętni w tem piśmie przyjmowali udział.

Miał ten udział i dla tych ostatnich wpływ dodatni, w tem choćby znaczeniu, iż Szymanowski, jako znawca i smakosz stylu, stał bacznie na straży czystości języka i nie dopuszczał żadnego odstępstwa w tej mierze, przestrzegając unikania zwrotów i wyrażeń cudzoziemskich, zawikłanych i długich okresów.

Usunął również bezpowrotnie powieści tłómaczone z języków obcych ze swego odcinka, który też piękniemi, oryginalnemi pracami pisarzy swojskich zyskał uznanie ogólne.

Popularność Szymanowskiego, jako redaktora „Kuryera Warszawskiego”, odbiła się sympatycznym echem w kołach towarzyskich Warszawy podczas obchodu jubileuszowego ćwierć-wiekowej jego działalności literackiej.

Bankiet, dlań wyprawiony w salonach Re-sursy Kupieckiej, na który pośpieszyli wszyscy jego wielbiciele, należał swego czasu do arcyożywionych i niepowszednich.

Mowy i toasty, wygłoszone na cześć jubilata, uwydatniły jego zasługi i literackie szewrony,

w długoletniej i pożytecznej dla społeczeństwa pracy zdobyte.

W szeregu mów poważnych znalazła się i humorystyka, a wiersz przez piszącego na cześć jubilata wygłoszony, odtwarzający jego charakterystyczne rysy, nie od rzeczy będzie w tem powtórzyć miejscu:

Po toastach wzniesionych na cześć jubilata,
 Nie będzie to i czasu i atlasu strata,
 Jeśli — jak nad zmarłymi Egipcyanie starzy —
 Złożymy sąd nad *żywym* królem kronikarzy.

Zapozygam cię przeto grzeszniku Wacławie!
 Zabierz miejsce należne na podsądnych ławie,
 Schyl w pokorze swe czoło, laurami spowite
 I poznaj swoje grzeszne *curriculum vitae*.

Generalia twe znane...

Masz postawę zucha,
 Zoilowską twą fisis uwieczniła „Mucha.“
 Jesteś *aptus vivendo* długie jeszcze lata...
 Fortuna do drzwi twoich pcha się i kolata...
 Masz żonę kochającą, masz dorodne córki,
 I synek twój już rzeźbi z marmuru figury...
 Na domiar, wbrew przysłowiu o pisarskiej nędzy,
 Masz chałupkę kamienną i dużo pieniędzy...

Tyleby tylko przywieść ku twej skrusze trzeba...
 Ale i większych darów użyczyły-ć Nieba!
 Złóż więc tutaj, przed sądem, z działań swoich sprawę.

Cwierć wieku już minęło, jak badasz Warszawę,
 Jej cnoty, jej śmieszności, jej wady rozliczne;
 Opisałeś jej życie domowe, uliczne,

Uchyliłeś zasłonę z figlarnej jej twarzy,
 Obliczyłeś procenta *warszawskich lichwiarzy*,
 Zajrzałeś w głąb salonów, zdeптаłeś ulice,
 I z tego nam skreśliłeś „Obrazki“ i „Szkice“.
 Nie skończyłbym twych grzechów olbrzymiej rubryki,
 Gdybym stracił z uwagi, żeś składał *Kroniki*.
 Nie takie, jak Gallusa, Długosza, Gwagnina,
 Lecz pod tarczą *satyry*, co chłoszcze, docina,
 Co ludziom przypomina ich życiowe trudy,
 I łyżeczkę lekarstwa podaje na nudy...
 Był to tylko *przecinek* w twych grzechów okresie,
 Czekaleś, aż cię zapal na Parnas uniesie,
 Chciałeś zniszczyć zawistnych zuchwałę nadzieje
 I zaczęłeś opiewać krwawe „Serca dzieje“...
 Następnie, gdy cię kusić zaczęła mamona,
 Wytoczyłeś nam dramat z beczki „Salomona“
 I — tak cię wieszczych natchnień przyoblekła zbroja,
 Żeś aż w tyglu usmażył chciwca „Sędziwoja“...

Tych grzechów nieśmiertelnych byłoby bez liku,
 Gdybym słówko chciał pisać o twym „Koperniku“,
 Gdybym chciał tu przytoczyć dowcipów pigułki,
 Któreś z hrabią Rzewuskim wyrabiał do spółki...
 Gdybym chciał tu dank przynieść sile twej wymowy,
 Za którą cię tak schłostał „Przegląd Tygodniowy“...

Lecz pomnę to wszystko!

Skokiem Lucypera

Śmiałeś rzucić się zdradnie na widmo „Kuryera“,
 Owionąć go swym duchem, wyrwać z grobu trupa...
 I oto zmartwychwstała reporterów kupa...
 Ty, grzesznik zatwardziały, stanąwszy na czele,
 Dajesz światu wytchnienie jedynie w niedzielę,
 Codziennie zaś, jak upiór, wpadasz między ludzi,
 A szelest pióra twego ze snu Kucza budzi...

Spełniona zatem do dna grzechów twoich czara,
Spotkać cię za nią musi zasłużona kara.
Nie ulęknem się twoich zradnych łez potoku
I taką cię obwieścim *sentencję wyroku*:

Zważywszy, że twe grzechy, mimo ich ogromu,
Nie są jeszcze dość jawne w każdym polskim domu,
Zważywszy, że dla dobra przyszłych generacji,
Potrzeba większy splendor dać twej reputacji,
Skazujemy cię, mocą prawniczych wyników:
Na — *dwadzieścia tysięcy płatnych czytelników!*

IX.

Miron. — Sobowtór Musseta. — Idealna trójca. — Welt-schmerz. — Lazury i bruk uliczny. — Modrzejewska. — Pie-śni. — Robota dziennikarska. — Pchła i rabin. — Atak flan-kowy. — Miron sobą i u siebie. — Ongi a dziś.

Obok reporteryi przygodnej, której zada-niem być miało rejestrowanie na gorącym uczynku wszelkich wypadków krajowych, miejskich i prowincjonalnych, istniała w „Kuryerze” Szy-manowskiego reporterya poważniejsza, powołana do zwięzłego zdawania sprawy z ruchu literac-kiego i artystycznego w sferze literatury, sztuki, życia publicznego, sądowego i ekonomicznego.

Zanim przez zaciągnięcie się do szeregów redakcyjnych sił nowych, w osobach: Kazimierza Zalewskiego, Władysława Bogusławskiego i Wik-tora Gomulickiego, działały owe zyskały bardziej wykończoną formę literackich referatów, miały

one przedstawiciela w młodym i utalentowanym pisarzu, Aleksandrze Michaux, który, rozpoczynając od udatnych prób poetyckich w tygodnikach zamieszczanych, dopiero w „Kuryerze” zaczął stawiać pierwsze kroki na ciernistej drodze dziennikarskiego zawodu.

Wiele już czasu upłynęło od owej chwili, gdy Miron wstąpił w literackie szranki.

Głośny ów ongi pseudonym okrywa dziś pył zapomnienia, ku wielkiej szkodzie tego działu piśmienniczego, którego był przez długi czas rzeczywistą ozdobą.

Wiele się na to złożyło przyczyn, o jakich w tem miejscu rozwodzić się jeszcze nie pora... Nastąpi jednak z czasem chwila, że znaczenie Mirona i jego niepoślednie stanowisko w dziennikarstwie i na Parnasie należycie wyświetlone i ocenione zostaną, a wtedy ujawnione będą i te bolesne powody, które ów talent niepośledni, poetycki, najprzód na manowce, a nakoniec i do zupełnego doprowadziły upadku...

W epoce rozkwitu „Kuryera Warszawskiego” i zgrupowania się owego kółka pisarzy młodszych, o jakich była mowa, Miron stał na zenicie swego fizycznego i umysłowego rozwoju.

Był to młodzieniec o szlachetnych, regularnych rysach twarzy, którym włos bujny, blond, zaczesywany w górę i kłębiący się w pięknych konturach, nadawał nadzwyczajne do Alfreda de Musset podobieństwo.

Podobieństwo to było nietylko zewnętrzne, lecz ujawniało się w psychicznych właściwościach natury refleksyjnej, wrażliwej na piękno, harmonię i biorącej życie wyłącznie z jego najpowabniejszej, poetycznej strony.

Miron, rzec można, był polskim sobowtorem Musseta.

Rozmilowanie się w utworach tego poety i w nim samym, nadało wszystkim utworom Mirona pewną cechę naśladownictwa owego pisarza i tej nielicznej Apolinowej diatwy, która w literaturze wszechświata tworzy trójcę znamiennej, skojarzonej między sobą wspólnymi rysami charakteru i rodzaju uzdolnienia poetyckiego.

Musset, Byron i Heine byli duchowymi ojcami Mirona.

Oni to przeważnie wpłynęli na rozwój umysłu tego pisarza, natchnęli jego muzę uczuciem rozgoryczenia i *Weltschmerzu* i nadali dźwiękom jego liry harmonijne akordy, kończące się zazwyczaj rozmyślnym, sarkastycznym rozdźwiękiem.

Szara powszedniość brukowego życia, w której Miron przebywał, nic licowała zupełnie z jego fantazyjnym usposobieniem.

Pod lazurówką niebem Italii, wśród warunków życia zmysłowego, podniecanego nieustannie ponętami i urokami otoczenia, byłby niezawodnie Miron znalazł odpowiedniejszą dla swoich kapryśnych upodobań egzystencję... Na bruku warszawskim — było mu i za ciasno i za prozaicznie...

Szukał więc osłody i znajdował ją—w sztucznem podniecaniu fantazyi środkami nie poetycznymi, które mu wytwarzały atmosferę złudną rajskich zachwyków i pozwalały grać rolę rozpieszczonego dzieciaka, tęskniącego za błękitnym kwiatkiem ulud i marzeń rozkosznych.

Zaciągnął się Miron pod sztandary „Kuryera” w epoce największego rozkwitu sceny warszawskiej, w chwili, gdy talent Modrzejewskiej rozkoszował widzów kreacyami nieśmiertelnego Szekspira.

Sprawozdania teatralne wyrobiły sobie w prasie warszawskiej pewien typ określony, uprawiany przez gazety większego formatu, a prowadzone przez dzielne pióra Lesznowskiego i Keniga, stanowiły istotne studia estetyczne, chciwie przez miłośników sceny czytowane.

Lecz na ukazanie się takiej recenzji nieraz długo czekać trzeba było, a ukazywały się one wówczas, gdy już sztuka była—prawie że zapomniana.

„Kuryer Warszawski”, z natury swej, skazany był na sprawozdania natychmiastowe, pod świeżem kreślone wrażeniem.

Musiał zaraz nazajutrz, po ukazaniu się jakiej *premiery*, zdawać czytelnikom sprawę z powodzenia, lub niepowodzenia sztuki; musiał w krótkich, a zwartych artykułkach przedstawiać jej treść i oceniać szczegółowo grę artystów.

Wdzięczne to zadanie Mironowi przypadło w udziale.

Wywiązał się zeń tak pomyślnie, że, po kilku próbach, recenzje teatralne „Kuryera”, znane poprzednio jedynie ze statystycznego obliczania ilości przywołań aktora, zaczęły nabierać znaczenia krytycznej i wartościowej oceny literackiej.

Lecz nie tylko sprawozdania teatralne miały w Mironie dzielnego przedstawiciela.

Na krótko przed reformą sądową zaczęły pisma codzienne, wbrew dotychczasowej praktyce, zdawać krótkie relacje ze spraw sądowych ciekawszych, przystrajając je w literacką, ponętą dla czytelników, szatę.

Nie było to już suche sprawozdanie z treści aktu oskarżenia i wyroku, lecz barwne streszczenie faktu przestępstwa, charakterystyka podsądnych ze stanowiska obserwatora społecznego, rejestrowanie przyczyn i skutków winy, zdolne zająć i zastanowić szersze czytelników koła.

I tutaj Miron, choć prawnikiem nie był, odawał pismu rzetelną przysługę.

Toż samo było i ze sprawozdaniami z prelekcji publicznych, które swego czasu były jeszcze w modzie, a zajmującymi być musiały, ile że na katedrze stawali mówcy, z prac naukowych i talentu krasomówczego chlubnie znani.

Z tem wszystkim, w Mironie, jako autodydakcie, było więcej intuicji, więcej talentu wrodzonego, aniżeli — nauki systematycznej i przedmiotowej...

Arkana literatury swojskiej, z zakresu wiado-

mości nawet dostępniejszych, były mu dosyć obce. Zdradzało się to nieraz w rzeczach drobnych, które wszelako, w pojęciu fachowców literackich, stanowiły jeden z ciężkich, niewybaczalnych grzechów głównych...

Zdarzyło się np. razu pewnego, że w jednym z pism zamieszczono szereg bajek, a między innymi i bajkę pod tyt. „Pchła i rabin”, podznaczoną literkami: *A. M.*

Miron przestraszony, aby owych inicjałów, oznaczających jego imię i nazwisko, nie przypisano jemu, subtelnemu śpiewakowi liryk i bajronowskich stanz, rzucił się nieoględnie na potulnego i Bogu ducha winnego... Adama Mieczyskiego, przypisując mu autorstwo owej „niestetycznej i niesmacznej bajki”.

Ni ztąd, ni zowąd, pojawia się w „Kuryerze Codziennym” gwałtowna dyatryba przeciw Mironowi, karcąca go za niewiadomość rzeczy tak znanej, iż autorem bajki był, ni mniej, ni więcej, tylko — Adam Mickiewicz...

Wyobraźmy sobie konsternację i wstyd załapanego w tak haniebny sposób krytyka!

O mało, że do pojedynku nie przyszło. Okazało się następnie, że chłosta zasłużona wyszła z żylastej ręki ojca Wincentego...

Od owego czasu stał się Miron ostrożniejszym i oprócz umiłowanej trójcy egzotycznej: Byrona, Musseta i Heinego, zaczął uważniej nieco przykładać się do studyów nad literaturą swojską.

Umiłował Miron przede wszystkim dział poetycki, wprowadziwszy do szpalt „Kuryera” owe krótkie, pełne wdzięku zwrotki, które następnie zebrane w jedną całość, przysporzyły literaturze skarbczyk pieśni wartości pierwszorzędnej.

I przez szereg lat wielu snuł pieśniarz z bogatej swej fantazyi przędzę natchnień istotnych, tyle odmiennych od fabrykatów lirycznych epoki późniejszej, gdzie, z małymi wyjątkami, oprócz misternej budowy wiersza, napotymano pustkę myśli głębszych, igraszkę słów na temat poezyi, wiosny, gwiazd i nie szczerze odczuwanych zachwyków miłosnych,

Widzę jeszcze we mgle niezbyt odległej przeszłości Mirona, gdy otoczony książeczkami pięknie oprawnemi, w gustownie przystrojonym gabinecie, rzucał na papier oderwane myśli, które następnie we wdzięczną rymów przyoblekał szatę.

Para uroczej diatwy bawiła się w kąciku tego pokoju, gwarząc swobodnie i nie przeszkadzając pieśniarzowi w twórczości. Zwracał wtedy ku niej chwilami wzrok pełen błogości i szczęścia, w które wierzył i którego tak gorąco pragnął.

Utworzył wkoło siebie atmosferę pogodną spokoju i wrażeń podniosłych, estetycznych.

Był hedonistą, czcicielem piękna we wszystkich jego objawach, w naturze, sztuce i w życiu.

Wszystko, cokolwiek ducha ludzkiego podnieść i pokrzepić jest zdolne, miało w nim gorącego wyznawcę. Wrażeń estetycznych szukał

wszędzie i znajdował je w czytaniu arcytworów poetyckich, w pogawędkach z przyjaciółmi, w wycieczkach konnych za miasto na siwym koniku, w podróżach do Włoch i nad Ren, z kąd przywoził teczkę uroczych pieśni, mieniących się barwnymi odblaskami fal Adryatyku, lub chmurnych ballad z epoki rycerstwa średniowiecznego...

Było to życie prawdziwego poety, biorącego to życie z najpowabniejszej strony, któremu przełotny uśmiech losu dał wszystko, czego tylko tęskniąca za błękitnym kwiatkiem rojeń młodzieńczej dusza zapragnąć była w stanie.

Ale los jest częstokroć kapryśnym i nie zatrzymuje długo swych uśmiechów na wybranem obliczu...

Jeśli obok młodzieńca pełnego nadziei i talentu, jakim był Miron przed laty, postawicie bezwładną, dożywającą prawie bezwiednie resztek istnienia w samotności, postać zgrzybiałego starca, w którym już nie znać było ani cienia tego, co stanowiło powab dni jego jutrznianych — westchniecie nad znikomością wszystkiego, co jest ziemskim, jak czyni piszący te słowa, w chwili, gdy wspomnienie przeszłości nieodżałowanego Mirona na pamięć mu nasunęło...

X.

Władysław Bogusławski.—Estetyk i dziennikarz.—Feljety teatralne. — Siły i środki. — Stoń Luniewski. — Vis inertiae. — Natchnienie i chłopak redakcyjny. — Siesty pana Kazimierza.

Pomyślnym zbiegiem okoliczności odradzającemu się szybko i z powodzeniem „Kurjerowi” przybyły z pomocą, w pierwszych już latach nowego jego bytu, niepośledniej wartości literackiej siły.

Taką właśnie siłę stanowił, między innymi, udział Władysława Bogusławskiego w charakterze współpracownika czynnego, najprzód w dziale polityki zagranicznej, a następnie już wyłącznie w dziedzinie sprawozdań teatralnych szerszego pokroju.

Łącząc z niepospolitem odczytaniem i znajomością języków (między tem i języka niemiec-

kiego — co mu już w szeregu literatów warszawskich dawało pewną przewagę) i wrodzony smak estetyczny, stanął niebawem Bogusławski w rzędzie pisarzy, których słowo budzi szacunek, uczy myśleć, zastanawiać się i uzasadniać krytycznie poglądy na zadania sztuki.

Studjum jego „Siły i środki sceny naszej”, wydane już w późniejszych latach zawodu pisarskiego Bogusławskiego, stanowi ozdobę krytycznego działu literatury swojskiej, a jakkolwiek obraca się wyłącznie w ciasnej sferze stosunków jednej tylko sceny, może wszelako służyć jako kodeks estetycznych poglądów na doniosłość teatru i jego przedstawicieli.

Szeroki ów pogląd na artyzm literacki i sceniczny zawdzięczał Bogusławski rozległemu swemu odczytaniu. Mało było między literatami warszawskimi z epoki, o jakiej tu mowa, pisarzy, oddających się z takim, jak on, zamiłowaniem studjom nad dziełami, wchodzącymi nietylko w dziedzinę ich specjalności, lecz potrącającymi o wszystkie zadania literatury i sztuki.

Każdy nowy utwór sceniczny, przedstawiony na deskach teatru, stanowił dla Bogusławskiego asumpt do studyów nad klasycznymi pierwowzorami sztuki greckiej i rzymskiej, a jakkolwiek nadmiernie częste wzmianki o Terencyuszu, Plaucie i Arystofanesie nie licowały niejednokrotnie z nagłówkiem pisma, w którym się drukowały, lecz dla Bogusławskiego areną popisu nie były

umysły maluczkich, lecz ów wybór arystokracji duchowej, która lubi poprzestawać z pokrewnymi sobie duchami i ich tylko przemawiać językiem.

Oprócz sprawozdań teatralnych uprawiał Bogusławski, jako sam muzykalny, i dział sprawozdań z koncertów, a sąd jego wytrawny stanowił nieraz o losie i powodzeniu artystów estradowych.

W życiu koleżeńskim, nieco, jak to mówią, „zapięty”, mało się towarzyszom udzielał i tem wyrobił sobie opinię człowieka, który w zakątkach swej jaźni duchowej pielęgnuje zawsze, względem kogoś lub czegoś, albo ukrytą sympatyę, lub też przystrojoną formułkami konwenansu — nieprzyjaźń...

Pokrewnym Bogusławskiemu duchowo, choć mniej popularnego nazwiska, był między współpracownikami „Kuryera” pisarz działalności dorywczej, niesystematycznej, i właśnie z powodu przygodnego zaliczenia się do ciężkiej kawaleryi dziennikarskiej—słoniem nazywany: Kazimierz Łuniewski.

Wytworny stylistą i dyletant literacki, z zawodu prawnik, niedługo bawił Łuniewski w gronie redakcyjnym „Kuryera” i, po napisaniu kilkunastu feljetonów, oraz studyów literackich, wzorowo pod względem formy i treści opracowanych, uznał swą karierę piśmienniczą za skończoną i cofnął się do zacisza wiejskiego.

W sprzeczności z upodobaniem literatów do

pióra, Łuniewski z niechęcią i tylko pod przymusem osobistym czatującego na schodach jego mieszkania chłopaka redakcyjnego, oddawał zapiskane paski papieru do składania. Zawsze o minie człowieka niedospanego, leżąc całymi dniami na kanapie, „ zaczytywał się”, w literalnym tego słowa znaczeniu, masami tomów z najróżnorodniejszych działów beletrystyki.

Z takim usposobieniem do lenistwa, do bezwładności, do owej siły, którą klasycy mianem— *vis inertiae* nacechowali, licowało harmonijnie i oblicze sympatycznego pana Kazimierza, zawsze nachmurzone, lecz rozjaśniające się tylko pod wpływem wrażeń estetycznych, jakie w nim rozmowa o nowej książce, o nowym poemacie, lub też o lepszej sztuce oryginalnej budziła.

Łuniewski nie miał specjalności, nie oddawał się wyłącznie jednemu działowi gazeciarskiemu, ze szczególniejszem nad inne upodobaniem.

Robił wszystko na obstalunek: i przegląd polityczny i sprawozdanie literackie, lub teatralne i kronikę potoczną, lecz wszystko, cokolwiek, przewyciężywszy wrodzoną sobie ociężałość, skreślił, nosiło na sobie cechę niepośledniego talentu i wyrobienia pisarskiego i budziło żal mimowolny w czytelniku, że wybitnej tej sile brakło iskry energii i twórczości, któraby się mogła w piśmiennictwie zaznaczyć trwalszym nad efemeryczne artykuły pomnikiem.

Pomimo tak przelotnego i opornego udziału w robocie dziennikarskiej, pozostawił po sobie Łuniewski życzliwe w pamięci rówieśników wspomnienie i żal niewymowny w sercu redaktora Szymanowskiego, iż mu się nie udało wprzódz tyle utalentowanego pracownika, na czas dłuższy, do dziennikarskiego rydwanu.

XI.

*Stanisław Krzemiński. — Filozofia i życie.—Dzielo niedokończone. — Le mieux c'est l'ennemi du bien. — Eru-
dyca.—Arena właściwsza.—Człowiek i kolega.*

Na różnokolorowem tle typów i charakterów młodego gronka współpracowników „Kuryera” wyraziście i dodatnio zarysowywała się postać człowieka, któremu zalety umysłu i serca skarbiły więcej zwolenników i wielbicieli, aniżeli obojętnych, a zapowiadały literaturze więcej, aniżeli dały...

Z fizjonomii, z rodzaju wymowy i treści wyznawanych zasad, należał Stanisław Krzemiński do kategorii doktrynerów, pragnących życie towarzyskie i publiczne organizować według naukowej modły, według Kantowskiego imperativu kategorycznego, bez względu na warunki szarej powszedniości, w jakich się toż życie zazwyczaj obraca...

Uzupełniwszy naukę Szkoły Głównej warszawskiej wykładami Heidelberskiej wszechnicy, wyniósł ztamtąd Krzemiński podkład subtelnej i pedantycznej filozofii, która działalności jego nadała następnie kierunek nieco jednostronny. Surowość wymagań względem innych, stosował Krzemiński przede wszystkim względem siebie, do tego stopnia, że zawsze niezadowolony z tego, co już zrobił, rzucał pracę w połowie i rozpoczynał ją nanowo, aby znowu jej nie wykończyć i na szersze zakreślać rozmiary.

Pogłębianie studyów w szczegółach najdrobiazgowszych sprawiło, że jedna z prac większych Krzemińskiego, od lat dawnych rozpoczęta i kilkakrotnie przetwarzana i przeinaczana, do dziś dnia jeszcze światła Bożego nie ogląda...

Krzemiński był wcieleniem erudyty książkowego. Spory o datę, o chwilę niemal wydarzonego wypadku dziejowego, rozstrzygała zawsze wyjątkowa pamięć pana Stanisława.

Czerpał on z niej, jak z bogatej skarbnicy, gwoli pożytkowi chwilowemu kolegów, zamiast utrwalania rezultatów rozległej swej wiedzy historycznej i filozoficznej na kartach dzieł literackich.

Przy takiej wszelako metodzie badań, wytwarzających pewną oschłość i pedantyzm, dusza Krzemińskiego wznosiła się na skrzydłach poezyi w niedościgłe sfery ideału. Mało który z rówieśników Krzemińskiego znał tak dokładnie historię polityczną i piśmienniczą swego narodu, jak on.

Erudycya ta rozpraszała się, niestety, po artykułach pism codziennych i tygodniowych, gdzie tonęła bezpowrotnie i bez śladu, ze szkodą dla autora i jego zwolenników.

Ujawniała się ona w owych krótkich, lecz treściwych sprawozdaniach z polityki zagranicznej, w sprawozdaniach z dzieł literatury swojskiej i obcej. Nietylko sam Krzemiński rozwijał w tak ciasnych granicach swą działalność dorywczą, piśmienniczą. I wielu innych, jemu podobnych, dla których najodpowiedniejszą areną byłaby katedra uniwersytecka, gdzie zdolności ich i kierunek badań mogłyby się należycie rozwinąć i pogłębić, z chlubą dla nauki, marnowało siły i łamało orle skrzydła w walce z codziennością szarą, z nieodpowiednimi warunkami bytu.

Jako człowiek odznaczał się Krzemiński znacnością charakteru i podniosłością uczuć. Był on i pozostał mężem zasad skryształizowanych w długich rozmyślaniach i obserwacyi faktów społecznych.

Ani czas, ani biegnące życie, nie zmieniły ani na na jotę owego entuzjazmu Stanisława dla wszystkiego, co w życiu doczesnem jest piękne, dobre, szlachetne i podniosłe.

Była to jedna z sympatyczniejszych postaci owej grupy pisarzy, która, wśród walki o zasady i cele społeczne z siódmego lat dziesiątka, umiała zaskarbić sobie poszanowanie bezwzględne—nawet w obozie przeciwników.

XII.

Binom Newtona i literatura. — Bolesław Prus. — Treny na śmierć Azorka. — Pierwsza wizyta. — Delegacya do Prusa.—Great attraction.—Partyjki szachowe.—Papirowki.—Talent z bożej łaski.—Realizm domorośli.—Kroniki tygodniowe.

Wśród adeptów zawodu literackiego, zespolonych nicią sympaty z „Kuryerem Warszawskim”, który, mimo swego charakteru, przeważnie brukowego, usiłował nadać sobie ton prowodyra w dziennikarstwie warszawskim, wyróżniali się liczbą i ruchliwością wychowawcy b. Szkoły Głównej i to nie z wydziału filologicznego, lecz z wydziałów: prawnego i matematycznego, bezpośrednio z literaturą lżejszego pokroju nie zestosunkowanych.

W motyla barwnoskrzydłego, literackiego, z poczwarki matematycznej — przedzierzgnął się

najniespodziewaniej, na oko niepozorny, lecz niewątpliwie jeden z najzdolniejszych, w powołanej grupie pracowników—Aleksander Głowacki, *ulgo* Bolesław Prus.

Dla tych, którzy z zajęciem śledzili szybki rozwój talentu Prusa, począwszy od pierwszych jego objawów w zbiorku: *To i owo*, aż do wspaniałych obrazów „Placówki” i „Lalki”, już pierwsze próby literackie owego zbiega z pod sztandaru dwumianu Newtona i rachunku różniczkowego, zdradzały niepospolite—oryginalnością formy, języka i treści, uzdolnienie pisarskie.

Pewna trzeźwość sądu i wyrazistość myśli, właściwe ludziom, którzy mieli kiedykolwiek bliższe zetknięcie z matematyką, cechowały już pierwociny talentu Prusa.

Właściwość ta, utrwaliwszy się szeregiem prac, uczyniła Prusa jednym z najulubieńszych pisarzy i nastroiła ku niemu sympatyczne uczucie czytelników.

Szymanowski, doskonały znawca ludzi i talentów, odrazu ocenił w Prusie pożyteczną literacką siłę. Artykuł, zamieszczony w „Musze” Kaufmana, pod tyt.: *Na śmierć Azorka trenów pięcioro*, zwrócił na siebie uwagę pana Wacława i skłonił do wysłania Prusowi zaproszenia, by przyjął współpracownictwo w „Kuryerze”.

Już poprzednio miał Prus sposobność zetknięcia się z gronem redakcyjnym pisma, w którym

niezadługo miał zająć rolę pierwszego skrzypka; lecz był to stosunek przelotny, nie literacki.

Z powodu jakiejś sprzeczki w jadalni, ongi Czuleńskiego, pojawiło się razu pewnego w redakcyi „Kuryera” dwóch czarno, po samą szyję, ubranych panów, z których jeden, w ciemnych okularach, z kędzierzawą, bezładnie kręcącą się czupryną, a drugi—niski, garbaty, mieli postać grajków z instytutu ociemniałych.

Panowie ci zjawili się w charakterze sekundantów, celem wyzwania Łuniewskiego na pojedynkę. Jednym z nich był Prus, a drugim—Leopold Mikulski.

Była to pierwsza wizyta Prusa w progach „Kuryera Warszawskiego”.

Jakkolwiek do pojedynku, z powodu braku poważnej do niego przyczyny, nie przyszło, jednakże długo jeszcze po owej wizycie trzymał się Prus w należytem od „Kuryera” oddaleniu.

Po przełamaniu pierwszych lodów, zawiązał się między Szymanowskim a Prusem stosunek zażyłości ścisłej w r. 1874, w którym współpracownictwo swoje rozpoczął Prus od szeregu „Szkiców Warszawskich”. Szkic: Pod szych tam i wybornie zobrazował ówczesne Powiśle. Od r. 1875 rozpoczęły się słynne „Kroniki tygodniowe”, które autorowi ich i pismu zjednały wielu zwolenników. Zaczęto uważać Prusa za benjamina redakcyjnego, bez którego już się obejść nie podobna było.

Sympatyą tą darzyli w pierwszym rządzie utalentowanego pisarza koledzy jego, dla których prawość charakteru, niezwykły humor i oryginalność myśli i czynów Prusa stanowiły *great attraction* zebrani redakcyjnych „Kuryera”.

Rozpoczynaly się owe zebrania południowe od partyjki szachów, rozgrywanych między Szymanowskim a Prusem, w ciasnym pokoiku, zastępującym salę przyjęć.

Szymanowski uważał się za niezwycięzonego szachistę, pomimo sromotnych pogromów, jakimi się jego zapasy z Prusem kończyły.

Dla znawców i nieznawców była owa walka roznamiętnionych graczy źródłem nieustannej wesołości. Przysłuchiwano się z zajęciem dowcipnym uwagom Prusa, rzucanym pod adresem redaktora; przyglądano się parze grających, z których jeden, pod pokrywką pewności siebie, tłumil oburzenie i rozpacz, gdy mu partner przy akompaniamencie dowcipnych a zgryźliwych przy mówek sprzątał z przed nosa laufra, konika i wieżę, osaczając kulawą figurkę, wyobrażającą króla, zastępem nieubłaganych pionków, a bezwzględny Fryze opatrywał komentarzami każdą taką porażkę.

Rozpoczęta we dwójkę partya, kończyła się zazwyczaj tłumnem zebraniem tak zwanej „galerii” (*kibitze*), która, nie należąc do gry, głośnie ponad głowami graczy prowadziła dyskusye, przerywane kiedy niekiedy humorystycznym zakłę-

ciem Prusa, palącego bez przerwy swoje nadłamane i pomiętoszone „papierówki” i natrząsającego się z zimną krwią nad namiętnymi ruchami rąk redaktora.

Pod maską humorysty i obserwatora faktów życiowych krył się w Prusie zakapturzony poeta. Uważając np. „Anhellego” za panoramę do fantastycznego baletu, oponując przeciw stawianiu pomnika Mickiewiczowi funduszami składkowemi, którychby, zdaniem Prusa, można było użyć w sposób dla społeczeństwa „produkcyjniejszy”, wygłaszając teorię stylu, według której ten tylko język jest dobry, silny, jędrny, który zawiera w każdym stu wyrazach pewien ściśle oznaczony procent rzeczowników, przymiotników i czasowników, był z tem wszystkim Prus w poglądach swoich i w całej swej działalności—poetą.

Poezya jego nie ujawniała się bynajmniej w wierszorstwie, o którym najdziwaczniejsze wygłaszał opinie, a nawet wyśmiewał głośno tych, co w dobieraniu jednorodnych i harmonijnych końcówek upatrywali najwyższe zadanie drukowanego słowa; lecz poezya ta zdradzała się w subtelnem odczuwaniu drgnień duszy człowieczej, w świetnem obrazowaniu natury i głębin uczuć ludzkich, w odczuwaniu nędzy maluczkich i poniżonych...

Ów talent samorodny, talent „z Bożej łaski”, przypominający Dickensa, nie czerpał wzorów z ustalonych typów literatury wszechświato-

wej, lecz żywił się i podtrzymywał obserwacją własną, współczuciem żywym* dla wszystkiego, co, pod niepozorną, a nawet nieestetyczną postacią, kryło skarby niewyczerpane, tak zwanych „dokumentów ludzkich.”

Kierunek realistyczny twórczości Prusa ujawnił się na długo przed zapanowaniem owej mody, najprzód w powieściopisarstwie francuskim, a następnie i w literaturze wszechświatowej, lecz był to realizm szlachetny, nie lubujący się wyłącznie w brzydkich, fizyologicznych objawach życia; odtwarzający toż życie z dokładnością fotografa-artysty.

Szczerłość uczucia, dowcip, humor, prawda życiowa, subtelna obserwacja śmiesznośtek ludzkich, język pełen prostoty i oryginalnych zwrotów, cechowały wszystkie prace utalentowanego pisarza, począwszy od rzewnych obrazków z życia mieszczańskiego i ludowego, aż do przygodnych kronik tygodniowych, które stanowiły ucztę duchową dla czytelników i utrwały szybko rosnącą popularność „Kuryera.”

W luźnych tych pogadankach, okraszonych niezrównanym, starszlacheckim humorem, poruszał Prus pod formą lekką najważniejsze zadania społeczne i torował niejednokrotnie drogę do stosowania w codziennym, praktycznym życiu tych wskazówek humanitarnych, którym już, w zaczątkach swej karyery piśmienniczej, hołdował.

XIII.

*Sfery teatralne. — Komedypisarze. — Kazio Zalewski. —
Prawnik-dziennikarz. — Spiritus flat. — Wzajemna adora-
cja. — Mistrz i uczeń.*

Nietylko z racyi sąsiedztwa bliskiego z teatrami warszawskimi, lecz i z tradycyi, od czasów Dmuszewskiego i Stanisława Bogusławskiego, utrzymywał „Kuryer” Szymanowskiego ściśle z teatralnemi sferami stosunki.

Jakkolwiek uważano powszechnie Szymanowskiego za literata, kronikarza i dziennikarza, on jednak osobiście uważał się przedewszystkiem za — dramaturga i komedypisarza, a w drugim rzędzie dopiero za redaktora pisma brukowego.

Złożyło się też zbiegiem okoliczności, że żywiol teatralny przeważał zwykle w redakcyi „Kuryera Warszawskiego.” Niepoślednie siły,

w rodzaju Jana Chęcińskiego, Józefa Blizińskiego i wielu innych, miały ognisko swoje w piśmie, które, będąc odzwierciedleniem upodobań Warszawiaków, stawiało zawsze sprawy teatralne na wydatniejszym miejscu.

Gromadziły się też przy Szymanowskim i siły młodsze dramaturgiczne, którym sądzone było zająć niezadługo poważne w sztuce swojskiej stanowisko.

Pierwsze kroki na literackiej arenie stawiać zaczął w „Kuryerze Warszawskim” i przyszedł komedyopisarz szerokiego rozgłosu — Kazimierz Zalewski.

Jako młodzieńcy student wydziału prawa i administracji Szkoły Głównej, krępy i niski brunecik, na wysokich zresztą obcasach, zjawił się młody „Kazik” w redakcyi, najprzód z wierszykami, opiewającymi nędzę kieszeniową literatów, a następnie, jako autor artykułków społecznych i sprawozdawca sztuki malarskiej, skarbił sobie względy redaktora gorącemi pochwałami, palonemi wrzekomo niepośledniemu dramaturgicznemu jego talentowi.

Wspólność upodobań do komedyopisarstwa, wytworność języka literackiego, pewna przejrzystość i jasność stylu niewymuszonego, oddającego z niezaprzeczoną maestryą najsubtelniejsze nawet pojęcia w sposób zrozumiały i potoczny, a przytem niezwykła w młodzieńcu pewność siebie, zjednały niebawem Zalewskiemu poczesne

miejsce między zastępem otaczających redaktora młodych pracowników.

Nie dogadzała owa skłonność Kazika do literatury aspiracyom i widokom rodzicielskim.

Mecenas Zalewski, jeden z wybitniejszych w palestrze miejscowej prawników, pragnął dla swego syna innych, pozytywniejszych wawrzynów; pragnął mieć w nim pomocnego w wyszukiwaniu arkanów kratkowych działacza, lecz Kazio, trzymając się zasady: *spiritus flat, ubi vult*, przez ramię spoglądał na kodeksa cywilne i karne, na uroki „przygotowawczych i stanowczych przysądzeń”, na plany „klasyfikacyjne i dystrybucyjne” i wyrwał się jak młode orle na wyżyny sławy komedyopisarskiej, roztaczające tak wspaniałe dla żarliwych adeptów sztuki horyzonty.

Schlebiało to Szymanowskiemu, gdy mu się młodzi zwierzali poufnie z pomysłów komedyopisarских. Jedna z pierwszych komedyi Zalewskiego „Z postępem”, napisana wierszem, w której odbijały się silnie echa Fredrowskiego języka, przeszła szczęśliwie przez ogniową próbę sądu Szymanowskiego.

Lecz takie uznanie wymagało wzajemności ze strony protegowanych...

Musieli oni, pod groźbą cofnięcia łaskawych względów, palić kadzidła talentowi komedyopisarowskiemu redaktora, wysławiać jego rymy kunsztowne, grać rolę uczniów, kierujących się w swych robotach wskazówkami mistrza i niczem nie zdra-

dzać przekonania o własnej wyższości nad ruty-
nicznem i mało oryginalności ujawniającem uzdol-
nieniem Szymanowskiego do sztuki komedyopi-
sarskiej.

Po za obrębem owych zakulisowych sympa-
tyi, należał Zalewski do szczerych przyjaciół re-
daktora i wzajemnie Szymanowski przy każdej
sposobności powtarzał, że Kazimierza do naj-
lepszych i najpojętniejszych swoich zalicza „ucz-
niów.” Kazio na pozór był dumny z takiego
przekonania Szymanowskiego, co jednak nie
przeszkadzało, że po za plecami swego „mistrza”
filuternie przymrużał oko i półgębkiem wątpliwo-
ści pewne w tym kierunku wynurzał...

XIV.

Edward Lubowski. — Nietoperze. — Współzawodnictwo. — Maryan Gawalewicz. — Benjaminek redakcyjny. — Milusińscy.

Już odrodzony z popiołów „Kuryer Warszawski” rozwiniętymi żaglami płynął po szerokim morzu popularności, gdy do załogi jego przystał zdolny i renomowany pisarz — Edward Lubowski.

Jakkolwiek słynną komedią swoją „Nietoperze” zdystansował niebawem na znaczną przestrzeń Szymanowskiego, jednakże, jako oględny, przezorny i o przyszłość dbający pisarz, garnął się chętnie do szeregu akolytów pana Wacława, głosząc jego sławę i niedościgłe mistrzowstwo w znawstwie sceny.

Udział Lubowskiego w dziennikarstwie ujawniał się w sposób charakterystyczny.

Nie było pisma, rozpoczynającego byt nowy, w którymby Lubowski nie zaliczał się do współpracowników. Oprócz stalszego udziału w tygodnikach i miesięcznikach, gdzie zamieszczał prace oryginalne i tłumaczone („Kłosa”, „Biblioteka Warszawska”), należał Lubowski i do pism codziennych, zrazu jako pracownik stały, następnie jako przygodny, a w końcu uważał się jedynie za gościa, składającego redakcyi towarzyskie wizyty.

Właściwość ta była wynikiem nerwowego usposobienia pisarza i jego aspiracyj do prac podnioślejszych i trwalszej wartości, którym reporterska działalność dziennikarska nie dogadzała.

Zamieściwszy kilka artykułów przygodnych w jakim piśmie, znikał niespodziewanie i przenosił swoją działalność gdzieindziej.

W „Kuryerze Warszawskim” trzymał się Lubowski względnie najdłużej i on to artykułem swoim o „prasie rewolwerowej”, wymierzonym przeciw obozowi „młodych”, rozpoczął kampanię, która się zwycięstwem „pozytywistów” zakończyła.

Nie przeszkadzało to bynajmniej, że i obóz młodych cieszył się współpracownictwem Lubowskiego, który pracę dziennikarską uważał jedynie za — przygodną i wyrabiającą literackie stosunki; lecz dla którego jedynie sztuka dramatyczna stanowiła powab i doniosłość umiłowanego i z powodzeniem uprawianego zawodu.

Z racyi nawet tego ostatniego zamięłowania, nie obywało się, po za kulisami konwenansu i towarzyskości, bez pewnej głuchej rywalizacji między Lubowskim, Szymanowskim i Zalewskim, a dla stojących po za obrębem owych współzawodniczych aspiracji przyjaciół „Kuryera” здаwać się nieraz mogło, że powodzenie sztuki Zalewskiego było manifestacją przeciw Lubowskiemu i wzajemnie...

W gruncie rzeczy była to rywalizacja szlachetna o zdobycie palmy pierwszeństwa w zawodzie komedyopisarzkim, która nie przynosiła ujmy współzawodnikom, a dając scenie krajowej coraz częściej utwory oryginalne, usuwała na plan dalszy fabrykaty francuskie, obracające się wyłącznie około tematu niewierności małżeńskiej.

W należytem oddaleniu od grupy komedyopisarzy trzymał się zrazu młodziutki, pulchniutki, o twarzyczce cheruba — Maryan Gawalewicz.

Nie marząc pierwiastkowo o sławie dramaturga i komedyopisarza, która z czasem uwieńczyć miała sympatycznego pisarza, nawet na deskach sceny zagranicznej, hołdował Gawalewicz przede wszystkim — liryce i w krótkich, lecz wonią świeżości i wdzięku nacechowanych zwrotkach, skromnie literką *n.* podznaczanych, opiewał uroki wiosny, lazurowych oczu bogdanek i różowych buziaczków „milusińskich”.

Estetyk, o subtelnem poczuciu i zamięłowaniu piękna, znawca języków europejskich najpotrze-

bniejszych, wytworny stylistą, lubujący się w języku salonów i słodkich gruchań miłosnych, był i Gawalewicz ulubieńcem kolegów redakcyjnych „Kuryera”.

Słodycz obejścia, towarzyskość i pięknie umeblowany literackim wykształceniem umysł Maryana, odbijały się w wykończonych, drobnych utworach tego pisarza.

Zanim działalność rozwinął w kierunku powieściopisarskim i dramatycznym na szerszą skalę—próbował Gawalewicz biegiłości pióra i w innych kierunkach.

Był wzorowym i sumiennym kronikarzem wypadków bieżących, był sprawozdawcą dzieł literackich, krytykiem, poetą i nowelistą, słowem, przedstawiał typ literata wszechstronnego i z tego względu poszukiwany był chętnie przez wydawców pism peryodycznych, łakomych zazwyczaj na każdy świeżo pojawiający się talent.

XV.

*Wiktor Gomulicki. — Poezya i życie. — Umitowania. —
Nerwy i robota dziennikarska. — Pamiętna chwila.—El
mole rachmim,*

Świetną i natchnioną recenzją o obrazie Matejki „Kopernik”, rozpoczął poeta Wiktor Gomulicki niedługotrwałą swą działalność w „Kuryerze”, wprowadzony do redakcyi tego pisma przez Kazimierza Łuniewskiego.

Jakby w stwierdzeniu faktu, że drogie kamienie rzadko kiedy wielkością się odznaczają i że wśród świata ptaszęcego kolibry są najmniejszymi, ginęła drobna postać Gomulickiego wśród wielu szarych wróbli dziennikarskich, które napępniały warsztat redakcyjny wesołem ćwierkotaniem.

Pod niepozorną maską skromnego pracowni-

ka, kryły się w Gomulickim przezyste skarby poetyckich natchnień i potęgi słowa.

Z generacyi poetów młodego pokolenia, wyrosłej na bruku warszawskim, on tylko, wspólnie z Mironem, mają zapewnione w Walhalli Apollinowej najwydatniejsze nisze, gdzie biusty ich, spowite wieńcem ogólnego uznania, budzić będą wspomnienia o owych harmonijnych pieśniach, jakimi młodość naszą czarowali.

Krakowska brama, Stare-miasto, uroczy zaułek Kanonii, Powiśle, wieża Nowego miasta, posąg Zygmunta, ulice: Ś to Jańska i Piekarska — były źródłem przezystych natchnień poetyckich dla naszego pieśniarza.

Ukochawszy całą duszą ów zamierzchły świat wspomnień, wyśpiewał on na cześć starej Warszawy cykl uroczych zwrotek, oszlifowanych jak dyamenty i jak dyamenty iskrzących się barwami tęczy.

Jak roślinka delikatna osadzona w gruncie piaszczystym — pracy dla chleba powszedniego — szamotał się duch poety z warunkami przykrej rzeczywistości i, jak owa roślinka, tęskniąc do słońca, roił poeta przy zmudnej i nudnej pracy dziennikarskiej — plany do poematów, snuł natchnione peany na cześć ideałów poezyi, które mu tak rażący z dzisiejszością przypominały kontrast:

„Zawsze mi twardą będzie ziemska gleba
I fałszywemi ziemskiej pieśni tony,

Bo wiem, że, aby w zgodzie niezmaconej
 Życ z przeznaczeniem blizkiem i dalekiem,
 I aby nie drzeć... na to być potrzeba
 Czems mniej, czems więcej, lecz już — nie człowiekiem!

Lira Gomulickiego, choć najbardziej tonem zgorzkniałym i bogactwem przenośni do Słowackiego zbliżona, nie była echem egzotycznego „Welt-schmerzu”, lecz rozdźwięk jej z rzeczywistością był następstwem nerwowego usposobienia pieśniarza, który rojeń swoich do prozy życia przystosować nie umiał, a może i — nie mógł.

Jak owa igielka magnezowa, zawsze ku północy zwrócona, drga niespokojnie pod wpływem, choćby zdaleka nań działającego, magnesu, tak i nasz poeta lękał się zetknięcia z prozą dziennikarskiej roboty i zamknięty w sobie, rozmarzony, zawsze smutny i rozgoryczony, odrabiał redakcyjne pensum przymusowo i jakby czapką legendową niewidzialności okryty, przesuwał się między gronem towarzyszy, by w zaciszu swej facyatki snuć cudne pieśni i oddychać atmosferą poetyckich zachwyków.

Jedna pamiętna chwila z życia Gomulickiego utkwiała mi w umyśle, jako charakterystyczny szczegół do nerwowego usposobienia poety.

Niewiadomo z jakiej blahej przyczyny opuścił raz pewnego Gomulicki redakcję „Kuryera” i zerwał z nią dyplomatyczne stosunki.

Napróżno dobadywano się przyczyn zerwania.

Przyzwyczajonym do drażliwości pieśniarza nie wydało się to zresztą nadzwyczajnością i z żalem oswojono się z myślą, że tyle ceniony i pożądanym pracownik przeniesie swoje lary i penaty do innego pisma.

Pewnego dnia w skrzynce redakcyjnej znaleziono rękopis na szarym papierze, przez nikogo nie podpisany.

Miano już ów papier, jako anonimowy, rzucić do kosza, gdy pan Waclaw od niechcenia rzucił okiem na wiersze, jakimi rękopis był zasiany i, przeczytawszy parę strof początkowych, z najwyższym uwielbieniem zawołał:

— Zrodził się światu poeta!

Zdziwienie i zachwyty ogarnęły słachaczami po wysłuchaniu odczytanego głośno poematu.

Postanowiono odszukać nieznanego pieśniarza, a tymczasem pan Waclaw wydał zlecenie bezwłocznego wydrukowania podrzuconego rękopisu.

Ów bezimienny utwór nosił tytuł: *El mole rachmim*.

XVI.

Antyteza. — Adam Niemirowski. — Bibliografia notaryatu. — Poliglodyzm. — Dziwny rachunek. — Franciszek Olszewski. — Bronisław Zawadzki. — Czesław. — Teodor Jeske Choiński. — Przyrodnik kuryerowy. — Asekuracja i apopleksya. — Filipowski. — Szober. — Jeleński. — Goraj. — Aron szaradzista.

Antytezą poetycznej osobistości Gomulickiego był gruby, opasły, przygarbiony, o legendowej postaci ojca Gaudentego, z przymieszką Falstafa — Adam Niemirowski.

Gdyby losy pozwoliły były panu Adamowi urodzić się w średnich wiekach, mielibyśmy w duchowym spadku po nim — bibliotekę dzieł erudycyjnych, oprawionych w pergamin, drukowanych gotykiem, a obejmujących najdokładniejsze wyliczenie tytułów wszelkich rozpraw naukowych, jakie wydały ze siebie mózgi człowiecze, począwszy od zaczątków kultury, z dokładnem podaniem

treści, gloss, komentarzy i wariantów tych archaicznych zabytków...

Jako dziecię wieku swego, a przytem gruntownej wiedzy prawnik zawodowy, nie mógł naturalnie spełnić powyższego zadania pan Adam, lecz natomiast wziął na swe barki dział bibliograficzny i w olbrzymich rozmiarach tomach postanowił objąć wszystko, cokolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek napisano w kwestyi... notaryatu.

Pracę tak mozolną, której mógłby chyba podjąć się człowiek skazany na dożywotnie więzienie celkowe, uskutecznił pan Adam z mrówczą cierpliwością i wydał własnym, kosztownym nakładem, w tem przekonaniu, że może uda mu się zjednać dla wydawnictwa choćby pięciu prenumeratorów, co też, w rzeczy samej, się spełniło...

Praca — dla pracy, praca dla — idei, oto była przewodnia modła działalności niezmordowanego erudyty.

Szukał on jej wszędzie, wynajdując dla umysłu swego najprzeróżniejsze męczarnie, byleby tylko nie odpoczywał w gnuśności.

Nie wystarczała panu Adamowi praca na polu prawniczym: podjął się więc nauki języków najmniej znanych i praktykowanych: szwedzkiego, duńskiego i prawdopodobnie zabrałby się z czasem do układu gwary Grenlandczyków, aby wypełnić ów nieznaną jeszcze, nietylko u nas, dział literatury, a tymczasem, nauczycielski się hiszpańskiego języka, przysyłał sprawozdania naukowe

do hiszpańskiej akademii i także sprawozdania w języku angielskim do czasopism: „The Academy” i „Atheneum”, rozpowszechniając wiadomości o nas i naszej literaturze na wszechświatowej arenie.

Był przytem pan Adam kolekcjonistą starych gazet i posiadał jeden z bogatszych zbiorów pism krajowych, znając na pamięć zawartość ich i wszystkie tytuły artykułów, jakie w sobie mieściły.

Oszczędny do przesady, kreślił artykuły do „Kuryera”, po większej części naukowej i informacyjnej treści, na odwrotnych stronicach rachunków kawalersko-gospodarskich, tak, że znajdowano nieraz po jednej stronie kawałka papieru notatkę: „za upranie kołnierzyku w i kosiul Złp. 2 gr. 7”, a po drugiej — erudycyjny wywód o początkach hipoteki w Polsce...

Wolne od pracy zawodowej chwile poświęcał p. Adam współpracownictwu w pismach czasowych, przeważnie jednak zajmował się przez lat wiele, wspólnie z Plugiem i Krzemińskim, redakcją „Kłosów”, zamieszczając tam gruntowne, piękną polszczyzną kreślone, artykuły naukowe.

Dział naukowy „Kuryera” obrabiali również: Franciszek Olszewski i Bronisław Zawadzki.

Pierwszemu oddany był dział ekonomiczny i statystyczny, wysunięty przez Symanowskiego na przednie stanowisko w rozkładzie artykułów „Kuryera”; drugi zajmował się przeważnie artykułami politycznej treści i recenzjami literackimi.

Olszewski, pracownik zdolny, energiczny, rozmiłowany w statystyce, umiał cyframi, którymi artykuły swe wypełniał, nadawać formę przystępną dla przeciętnych umysłów czytelników i, kreśląc np. przebieg i rezultaty handlu przy- i wywozowego, lub też statystykę sądownictwa gminnego, poruszał kwestye ważniejsze, zwracał uwagę na doniosłość przedmiotu i zjednywał dla pisma uznanie ze strony fachowców.

Bronisław Zawadzki, cichy, potulny o wykwi-tych, łagodnych manierach towarzysza, nadawał artykułom swoim woń subtelności i amplifikacji słowa, właściwą estetykom, opatrując każdy rzeczownik szeregiem przymiotników, podnoszących jego estetyczną, piękną i sympatyczną stronę.

Do szeregowców „Kuryera” zapisał się i p. Czesław (Jankowski) o bujnej, blond czuprynie, sobowtór Mirona, przystojny młodzian, zakapturzony Heinista... Rozkochany w epoce minnesängerów, kreślił ustawicznie arabeski „na listku róży” i opiewał chwałę i niedolę lutnisty, któremu surowy, siwobrody król, niebaczny na lzy królowny, rozkazuje powędrować „hen”, daleko, w świat...

Nie trzymając się chronologicznego układu w opisie stopniowego rozszerzania się gremium redakcyjnego, wspomnieć wypada w tem miejscu zaliczenie się p. Jeske-Choińskiego do szeregu współpracowników „Kuryera”.

Uspodobienia polemicznego, wybuchowego, czuł się Choiński jakby nie w swoim żywiole,

wśród pisma, które polemik unikało — z zasady, starając się więcej o przyjaciół, aniżeli o przeciwników, których, i bez tego, wzrastające ciągle powodzenie materyjalne wydawnictwa mu przysparzało.

Wstąpił Choiński do „Kuryera” na lat parę przed zgonem Szymanowskiego, przejednany pochlebłą recenzją, jaką o „Przedniej straży” napisał Wł. Bogusławski. Od tej chwili stał się Choiński z przeciwnika zwolennikiem Szymanowskiego i przyniósł mu w dani pióro cięte, wprawne, pewną swobodę i niezależność w wygłaszaniu opinii o sprawach społecznych i literackich, nie licujących częstokroć z atmosferą pisma brukowego, jaka się nad „Kuryerem” roztaczała...

Dział przyrodniczy miał przedstawiciela w zbytnio bladym i zbytnio czarnym, o wschodnim typie, lecz o południowej fantazyi, dowcipnym Bronisławie Rajchmanie.

Wszelakie katastrofy niebieskie, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, elektryczne zjawiska, zaćmienia słońca, gwiazd i księżyca, spadki meteorów i kul ognistych, wszelakie miotły kometowe — wszystko to oddane było w wyłączną dzierżawę panu Bronisławowi, pod warunkiem spłacania tenuty dzierżawnej artykułami pożywnymi, o barwie migotliwej, o wadze tak małej, by nie zaciążyły zbytnio na mózgownicach „kamieniczników”, brzydzących się z zasady katastrofami nie-

bieskimi, jako dającymi asumpt lokatorom do nieregularnego płacenia komornianych czynszów...

Lecz nietylko katastrofy w sferach górnych należały do działu p. Bronisława. Jeśli się szczęśliwie zdarzyło, że kocioł parowy wysadzony został w powietrze na Solcu, p. Bronisław śpieszył uradowany na miejsce wypadku i donosił redakcyi o popłochu, wywołanym tym wypadkiem między żydkami, a uśmierzonym okrzykiem przestrogi: *Der Rząd gajt*:

Inny znowu Bronisław, o przewróconem na wspak nazwisku: *Le zy a m*, asekurował w „Kuryerze” życie czytelników, przedstawiając im przyjemności i pożytek natychmiastowej apopleksyi, po opłaceniu choćby jednej wkładki „ubezpieczeniowej”...

Uzupełniali tę grupę: sumienny i pracowity sprawozdawca wiadomości zamiejscowych, Kazimierz Filipowski, rodzaj *pièce de resistance* w *menu* redakcyjnym, siła pierwszorzędna w kierowaniu informacyjnym działem pisma, pracownik biegły w prowadzeniu kwerend literackich, ilekroć wypadło o jakiejś zagranicznej znakomitości podać w ścisłych ramach odpowiednią informację; dalej, blady i wystraszony, trzęsący się, jak osika na drzewie, Feliks Szober, twórca „bomb” ogródkowych, nieśmiertelny ojciec Barnaby Fafuły i Grojseszyka, skrzętny zbieracz wiadomości ze sfer teatralnych; dalej, Jan Jeleński, podno-

szący nieustannie doniosłość roli, jako źródła — niezawodnych zysków.

Należeli, między innymi, do przygodnych pracowników: Klemens Junosza, pisarz niepośredniego talentu, autor „Łaciarza”, zamaszysty Adam Breza (Goraj), którego debiut literacki, upamiętniony dyatrybą, przeciw Piotrowi Chmielowskiemu skierowaną, zakończył się pokiereszowaniem autora tendencji w literaturze szablonami rozjątrzonych przeciwników.

Zjawiał się niekiedy w redakcyi ostrożnie i nieśmiało sławetny p. Aaron Tenenbaum, odbiorca przysięg w sądach, a w chwilach wolnych — dostawca szarad kuryerkowych, w rodzaju:

Pierwsze i drugie — to jest zwierz kopytkowy,
Pierwsze i trzecie — ozdabia damskie głowy;
Wszystkie razem, na wojnie strasznie goni —
 Niech nas Bóg od tego zabroni!

lub też:

Pierwsze znaczy dół, *drugie* — przeznaczenie,
Wszystko razem — kortowe odzienie...

typ pocieszny, jakby z Albumu Piwarskiego wyrwany, unieśmiertelniony w *Lalce* Prusa, pod postacią *Szlangbauma*...

XVII.

Najazd Gallów. — Tadzio a Tadeusz Czapelski. — Jego poprzednik. — Feliks Fryze. — Podróż pod obłoki i za ocean. — Trwogi pana Wacława. — Sekretaryat „Kuryera”. — Zenit powodzenia. — Płaszcz hidalga i ponsowy krawacik Czapelskiego.

Ruchliwość kilku pisarzy, którzy około roku 1875 przybyli z Galicyi na bruk warszawski i wstąpili w szranki dziennikarskie, obudziła między niektórymi literatami rodzaj cichego niezadowolenia.

Szeptano sobie o „najeździe Gallów”, sarkano na wpływ, jaki rzutkością swoją wywierać zaczął w gronie redakcyjnem jeden z najmłodszych z pomiędzy „galileuszów” — Tadeusz Czapelski, lecz kwasy te powoli uśmierzyły się i zaczęto się oswajać z myślą, że „Kuryer”, jako pismo popularne, wymaga współdziałania sił różno-

rodnych, tonu lekkiego, potocznego, odpowiedniego upodobaniom „Warszawiaków”.

Czapelski wkrótce po swoim wstąpieniu do redakcji „Kuryera”, około r. 1876, zdystansował na daleką metę dotychczasowego szefa reporterskiego działu tego pisma — Feliksa Fryzego.

Fryze był typem iście amerykańskiego dziennikarza. Nieoceniony towarzysz, dobry kolega, niewyczerpanego humoru, zawsze był gotów do wszelakich karkołomnych wycieczek w sfery chmur, oceanu, lub w kłęby dymu każdego pożaru, do którego pierwszy zwykle śpieszył na ratunkowej beczce.

Zanim sam w r. 1876 stanął na czele „Kuryera Porannego”, który zaczął budzić Warszawiaków ze snu i opowiadać im do poduszki o rozmaitych skandalikach, i zmusił wreszcie pana Wacława do dwukrotnych dziennie edycji „Kuryera” (co w publicystyce polskiej było ważną innowacją), był Fryze w „Kuryerze Warszawskim” szefem reporterów miejskich, niewyczerpanym w pomysłach gloryfikacyi strażaków, gascielem pożarów.

On pierwszy z dziennikarzy warszawskich puścił się z aeronautą Bunelem w nadpowietrzne strefy, ku wielkiemu przestrachowi pana Wacława, któremu wielce zależało na życiu tak dzielnego współpracownika, lecz niemniej pragnął przed tak karkołomną wycieczką uregulować „zaliczki”, ja-

kie ciążyły na sumieniu odważnego nadpowietrznego żeglarza.

Kiedy już wszystkie argumenta, przeciw owej wycieczce skierowane, wyczerpały się, a Fryze bez sporządzenia testamentu zamierzał wznieść się w obłoki, pan Wacław, widząc bezowocność wszelkich przestróg, polecił przedewszystkiem sporządzić bilans i saldo balonisty, które wykazały znaczny na niekorzyść kasy redakcyjnej niedobór.

Spadł Fryze bez nadłamania karku w okolicach Warszawy i odrobił niebawem swój dług opisami nadziemskich wrażeń, jakich doznał, wzniosłszy się nad padół—placu Teatralnego, lecz mu to nie przeszkodziło, że skorzystał z pierwszej sposobności, by również, bez uregulowania zaliczek, popłynąć za ocean, zkąd nadsyłał korespondencye, traktujące o sprawach amerykańskich ze stanowiska „warszawskiego”.

Taka awanturniczość pomysłów była niejako cechą usposobienia Fryzego i niepospolitym jego zdolnościom nadała niesystematyczny, dorywczy kierunek.

Pamiętam go jeszcze z czasów gimnazjalnych, jako jednego z wyjątkowo utalentowanych młodzieńców. Była to najlepsza głowa matematyczna. Wróżono Fryzemu świetną karierę na polu naukowem, uwielbiano go, jako wesołego, zawsze do psich figlów skłonnego towarzysza zabaw.

Takim, jakim był na ławce szkolnej, pozostał Fryze i w dojrzałych latach zawodu dziennikarskiego.

Po opuszczeniu „Kuryera Warszawskiego” ustąpił miejsca następcy swemu — Czapelskiemu, a doświadczenie okazało, że pismo pana Wacława na zmianie tej nie wiele straciło.

Bez pretensyi do literackich wawrzynów, górował Czapelski nad innymi — zdolnością do szybkiego informowania czytelników o wszystkich wypadkach dnia i nadawania im owej formy „*all right!*”, która niemal, że przysłowiową się stała.

Znalazłszy się na bruku warszawskim, Czapelski w krótkim czasie zżył się do tego stopnia z atmosferą Warszawy, że zatracił w sobie wszelkie cechy prowincjonalnego dziennikarza.

Łącząc z niewyczerpanym humorem i zdolnością jednania pismu zwolenników i przyjaciół — pracowitość wyjątkową, zdołał p. Tadeusz podbić serce redaktora, który też, widząc tyle zdolnego i oddanego pismu pracownika, zdał rządy pisma w jego ręce i zjawiał się w redakcyi jedynie dla spędzania na partyjce szachów paru godzin w wesołym gronie współpracowników.

Pod sterem Czapelskiego zyskał „Kuryer” wiele na żywotności, a zenitem jego powodzenia była epoka awantur z żydami, gdy, po uśmierzeniu się namiętności, zaczęła prasa nawoływać do upamiętania się i pod wpływem artykułów Prusa, stawszy się orędowniczką klas rzemieślniczych,

utworzyła dla nich ze składek publicznych kasy pożyczkowe.

Stał się podówczas Czapelski osią główną, około której, przez czas dosyć długi, obracała się redakcyjna machina.

Zawsze wesoły, rzutki i towarzyski, w płaszczu hiszpańskiego hidalga, z ponsowym krawatem na szyi i angielskimi bokobrodami, był Czapelski postacią bardzo popularną na bruku warszawskim, a w gronie redakcyjnym „Kuryera” wytworzył towarzyskie ognisko, organizując ciągle zabawy i „rybki”, na których niewyczerpanym zachwycał humorem.

XVIII.

Wykolejone, nadłamane i złamane egzystencye.—Wołody Skiba.—Praca dla chleba i czwarty wymiar.

Redakcye pism warszawskich, a więc i redakcya „Kuryera Warszawskiego”, obfitowały w epoce, o jakiej tu mowa, w znaczną liczbę wykolejonych, nadłamanych egzystencyj.

Rzadko który z młodzieńców, po opuszczeniu ławy szkolnej, lub uniwersyteckiej, znajdował zajęcie odpowiednie swemu uzdolnieniu, lub fachowemu wykształceniu. Chemik stawał się prawnikiem; mechanik wchodził do „interesu bankierskiego”; filolog znajdował zajęcie biurowe „u Kronenberga”; przyrodnik układał tablice statystyczne „dla Blocha”; estetyk pilnował regularnego biegu pociągów na drogach żelaznych; pedagog pracował w Towarzystwie kredytowym ziemskim; historyk — w Towarzystwie miejskim; matematyk

sprawdzał racje żywności, wydawane w „osadach rolnych”; inżynier ślęczał w wydziale „ochronek” przy Towarzystwie Dobroczynności; poeta pracował nad ustawą dla „szwalń warszawskich”.

Konieczność zapewnienia sobie na czarną godzinę kawałka chleba, zmuszała młodzież do chwytania się wszystkiego, cokolwiek zapewniało kilka godzin zajęcia dziennego i jaką taką pensyjną miesięczną.

Obok takiej tłumnej kategorii wykolejonych, była także i spora liczba nadłamanych, lub też zupełnie złamanych egzystencji, dla których praca redakcyjna, zmuśna i wyczerpująca, była niejako deską ocalenia, ale jednocześnie i tą deską, co przygniata ciężarem swoim mózgi, nie pozwalając im bujać po przestworzach.

Niewiem, zaiste, do jakiej kategorii należałoby mi zaliczyć Władysława Sabowskiego, który właśnie, pod koniec epoki, o jakiej mowa, wstąpił „do Kuryera” w charakterze pomocnika sekretarza redakcyjnego.

Znaliśmy wszyscy Wołodego Skibę, jako ongi redaktora dawniejszej „Prawdy”, (wsławionej ostrzeżeniem „pierwszem”, za artykuł „Powstanie polskie i dyplomacya”), znaliśmy go jako tłumacza cudnej „Białej szaty” Hartmana i strof Petoefiego, jako powieściopisarza i publicystę; lecz dla szerszego ogółu nieznanym pozostał kierunek mistyczno-metafizyczny zajęć Sabowskiego, gdy, będąc na obczyźnie, zawzięcie oddawał się badaniom „nad

czwartym wymiarem”, lub też robił obliczenia w sprawie kierowania balonami.

Praca dla chleba przerwała tok formułek matematycznych marzyciela i przykuła go do redakcyjnego stołka, gdzie mu kazano być—wszystkowiedzem: być encyklopedyą wiadomości dla tych, co, z braku lepszego zajęcia, szukali w „odpowiedziach od redakcyi” informacji co do nazwy któregoś z Faraonów 37 dynastyi, pochodzenia Ariobarzanesa, tytułów dzieł jakiegoś poety bretońskiego, różnic przedmiotowych między utworami, pisanymi w językach „*d’oc*” i „*d’oil*”, najłatwiejszego sposobu dostania się do *l q u i q u e*, lub wreszcie, daty stanowczej bitwy między Uru-guajczykami a Peruguajczykami...

Obok takich denerwujących zajęć musiał Sabowski układać po nocach plany wielotomowych przygód „Grzesia” i w ciągu dnia znajdować jeszcze parę godzin dla pogawędki z przyjaciółmi przy „kufelku piwa”, który miał zawsze dla niego, krótkoszyjnego apoplektyka, urok — zakazanego owocu...

W życiu potocznem nieco w sobie zamknięty, miał jednak Sabowski dla tych, z którymi sympatyzował, uśmiech szczerzy na twarzy i do-wcipną zawsze dykteryjkę w pogotowiu.

Z przygodnego zrazu pracownika, stał się Sabowski, po krótkim nowicyacie, ważną w redakcyi „Kuryera” siłą, zastępcą z urzędu wszelkich czynności redaktora i sekretarza, lecz dla

tych, co znali przeszłość Wołodego Skiby, jego polot poetycki i skłonność do metafizycznych badań, owa przymusowa „robota” dziennikarska, do jakiej go konieczność wprzęgła, była jeszcze jednym więcej dowodem owej mizeryi życiowej, która częstokroć nie pozwala istotnym zdolnościom wybujać ponad poziomy, skazując je na powolne we własnym ogniu strawienie...

XIX.

Pan Zygmunt. — Legatowicz, Węgierski i dramat Fredry. — Dziwne roztargnienie. — Nos Czerniejewskiego. — Urbaś Sobolewski. — Ceny targowe drobiu. — Dział ogłoszeń. — Najpożyteczniejszy pracownik.

Oprócz wymienionych matadorów redakcyjnych gromadziło się w „Kuryerze” grono pracowników przygodnych, bez których redakcja pisma codziennego obejść się nie może.

Z legionu takich dorywczych literatów podnieść należy typową postać „pana Zygmunta”, który po latach wesołego żywota, znalazł nareszcie w „Kuryerze” wygodny i ciepły kącik, a przede wszystkim sposobność do odświeżania kawalerskich swoich wspomnień...

Musiały owe wspomnienia być wielce pociągające, skoro znajdowały zawsze chętnych słu-

chaczy, pobudzając ich do nieustannych wesolości wybuchów.

Pan Zygmunt (takie nosił nazwisko) był niepoślednim rymotwórcą i to stanowiło jego dumę, a nawet przedmiot emulacji z p. Waclawem, gdyż jeśli ten ostatni nie mógł dobrać stosownego rymu do karkołomnego wyrazu, wyręczał go w tej mierze pan Zygmunt i, nie rzadko, bardzo udatnie.

Zawsze uśmiechnięty, z gotową, arcyprężną anegdotką w zapasie, chował p. Zygmunt ulotne wierszyki Węgierskiego i Legatowicza, umiał na pamięć dramat młodzieńczy Fredry i przygody ojca Gaudentego, darząc niemi na zawołanie wesołe gronko słuchaczy.

Do tego kawalerskiego usposobienia łączyło się w panu Zygmuncie dziwne roztargnienie, które było źródłem nieustannych docinków ze strony członków grona redakcyjnego. Wymawiano mu np., że raz w pośpiechu, pozostawić chciał w szufladzie komody, coś, bez czego, w towarzystwie niewiast pokazać się nie można...

Docinki te przyjmował nasz rymotwórca do brodusznie i szczęśliwym był, jeśli go chwalono za wybór powinszowań i dobór rymów, w owych niewinnych, literaturze żadnej szkody nie przynoszących produkcjach.

Innym, charakterystycznym typem był „pan Czerniejewski”, redaktor „naczelných artykułów”; obejmujących sprawozdania z uroczystości kościelnych; figurka niziutka, o czerwonym, świecącym się już zdala nosie.

Dyspozytorowie drukarni, pp. Konarski i Skowroński, cieszyli się wielką powagą w redakcyi, od nich bowiem zależała szybkość w układzie numerów i dobór odpowiednich, w oczy bijących, czcionek.

Trudno wreszcie nie wspomnieć „Urbasia” Sobolewskiego, który piastował berło sprawozdawcy z rynku targowego, choć mało się owym rynkiem interesował.

Roztargniony, jak i pan Zygmunt, przynosił częstokroć zabawne informacye, między innymi, „że dnia wczorajszego, z d r o b i u—sprzedawano s a r n y i z a j ą c e p o r s... sztuka”...

Gdy się dział ogłoszeń „Kuryera” rozszerzył i zaczął stanowić poważną rubrykę dochodów pisma, zawiązały się trwalsze, na wzajemności interesu oparte, stosunki z p. Aleksandrem Rajchmanem i zaczęto go uważać za „najpożyteczniejszego współpracownika”.

Pomimo pozornej rozpacz y p. Wacława i jego utyskiwań nad zwiększającym się stopniowo nakładem wydawnictwa, w którym ilość ogłoszeń jakoby w odwrotnym do zysków z prenumeraty

pozostawać miała stosunku, z rozkoszą spoglądano na ostatnie stronicie „Kuryera Warszawskiego”, gdzie, gęstym zasiane maczkiem ogłoszenia, dowodziły stopniowego wzrostu popularności pisma i niepowszedniego jego rozpowszechnienia na rynku interesów kieszeniowych jego czytelników.

XX.

Wydział dobroczynności.—Panna Aniela i Bijou.—Artyści i obieżyświaty. — Neville.—Bibka brytańska u Boqueta.—Rymokleci.—Kosz redakcyjny.—Niewiasty piszące.—Jubileusz wydawców.—Gustaw i Robert.—Toast palestranta.—Pan Gecel.—Zgon Szymanowskiego.—Aventyńska góra.—Zmiana redakcyi i wydawców.

Zawdzięczał „Kuryer” Szymanowskiego swoją poczytność i popularność nietylko umiejętnej redakcyi, lecz i owej spójni, jaka go, na polu praktycznego stosowania dobroczynności doraźnej, z mniej zasobnemi klasami ludności kojarzyła.

Wydziałem wsparć kierowała popularna w mieście panna Aniela Bogusławska, osobistość typowa, sympatyczna, zabiegliwa, nietylko swemu pieskowi „Bijou”, lecz i sprawom biedaków całą duszą oddana.

Spotykano ją zawsze otoczoną gronem ucz-

niów, wdów, sierot, rzemieślników bez zajęcia. Wszystko to garnęło się do niej, szukało wsparcia i opieki, w tem przekonaniu, że, o ile tylko panna Aniela losem biedaka się zajmie, to i pomoc doraźna dlań się znajdzie.

I nie zawodziły się w rzeczy samej na tej nadziei zgłodniałe biedaków rzesze...

Ciepło zredagowany pod wpływem panny Anieli artykuł, wzywający czytelników do składek, zawsze chętnie znajdował poparcie ze strony ogółu. Stał się „Kuryer” niejako prywatną filią Towarzystwa Dobroczyńności, kasą oszczędności, do której splywało zewsząd grosiwo, rozdzielane bezzwłocznie, między najwięcej potrzebujących „a wstydzących się żebrać” biedaków.

Oprócz grosiwa, płynęły do archiwum panny Anieli dary w naturze, książki i odzież dla uczniów, maszyny do szycia dla szwaczek, posady dla zbiedniałych obywateli wiejskich, zapomogi dla rzemieślników.

Od rana do wieczora kupiły się w bramie redakcyjnej tłumy, wyczekujące pojawienia się panny Anieli, jej ciepłego i miłosiernego słowa, jej opieki, którą bezstronnie i z rzadkim taktem, zasługującym na tę pomoc, udzielała.

Ta strona działalności społecznej „Kuryera” Szymanowskiego, pozostawiła po sobie piękną tradycję, szanowaną nawet przez przeciwników owego pisma.

Lecz nietylko zgłodniaли i biedni ubiegali się o protekcję „organu z Placu Teatralnego”.

Artyści, podróżnicy, cały ów barwny tłum przybłędów zagranicznych, talentów i talencików wszelakiego gatunku i wartości, wszystko to garnęło się do „Kuryera”, by zjednać sobie łaskawe słówko zalecenia względem publiczności, ze strony pana Wacława i jego otoczenia.

W szczupłym i niepokaźnym pokoiku redakcyjnym odbywano przedwstępne próby rozmaitych sztuk prestidigitatorskich, deklamatorskich, muzycznych etc. i głośny amerykański aktor, Neville, zanim zdusił Desdemonę na deskach Teatru Wielkiego, już w wilię występu krzyczał na całe gardło do członków redakcji: „*My handkerchief!*” lub też, udając Hamleta, pomrukiwał pytająco: „*To be, or not to be?*” by dobić się uznania i rozgłosu między Warszawiakami, przyzwyczajonymi wierzyć na ślepo temu, co „pisało, lub stało” w „Kuryerze”, na co mu też „reprezentant prenumeratorów”, w specjalnie na cześć jego urządzonej bibce u Boqueta, łamaną angielszczyzną odpowiedział.

Rymokleci i noweliści od siedmiu boleści, zanim się dostawali do kosza redakcyjnego, pożądliwie oczekiwali odpowiedzi, w którejby nazwisko swoje, bezpłatnie wydrukowane, wyczytać mogli, z dodatkiem: „nie do druku”, lub ze słowem zachęty, pociechy, pobłażania, lub beznaziejnego potępienia. Wydostawał się czasami

taką drogą nie jeden ukryty talencik; nie jeden znów, zawiedziony w nadziejach, rzucał w zaczątku drogi szlak ciernisty literackiego rozgłosu i—zbawiał ludzkość w inny sposób...

Jako ognisko najprzeróżniejszych wpływów, stosunków, ambicyjek i znajomości, stał się niebawem „Kuryer” Szymanowskiego arcy-przyjemnym ogniskiem towarzyskich zebrań, gdzie w popołudniowych godzinach dnia schodziło się wszystko, cokolwiek w życiu potocznym warszawskiem grało, lub grać chciało wybitniejszą rolę. I płeć piękna, uprawiająca literackie robotki damskie, nie gardziła towarzysztwem kuryerkowem, w którym Prus i pan Wacław na wyścigi starali się przypodobać „niewiastom piszącym” i z wyszukaną galanterią swe hołdy ich talentom składali.

Nie rzadko całe redakcyjne grono przenosiło ognisko swych zebrań do gościnnych komnat pana Gustawa Gebethnera, w ogrodzie Instytutu Głuchoniemych, w odludnym domku urządzonych i podziwiało tam mistrza w przyrządzaniu rozmaitego koloru i smaku nalewek i prawdziwego hultajskiego bigosu. Zebrania te dawały asumpt do wesółych toastów i pobudzały do dobrego humoru nawet wiecznie zakłopotanego i wiecznie z czegoś niezadowolonego pana Roberta Wolffa.

Jubileusz 25-ciolecia wydawniczej firmy, uczczony gwarnem i węsolem zebraniem w salonach Resursy Obywatelskiej, nastreczył młodzieży

redakcyjnej sposobność do uwydatnienia towarzyskiej spółni, jaką powodzenie pisma między pracownikami jego wytworzyło i dało asumpt do humorystycznych mówek na cześć jubilatów.

„Wie z nas to każdy (a może nie wie?),
 Że spółki szatan wymyślił w gniewie,
 Że chcąc, by ludzie mieli przyczynę
 Brać się za bary i za czuprynę,
 Wzbudził w nich chęci zgubne, zdradzieckie,
 By zawierali—współki kupieckie
 I wśród juristów (wszech-cnót czcicieli)
 Najzawołniejszych przyjaciół mieli.

Zaprzeczyć temu chęć bierze szczerą,
 Gdy widzimy Wolffa i Gebethnera,
 Jak ci zrosnięci bracia Syamczycy
 Wspólnie działają w swojej księżnicy,
 Rąk mają kilka, pedały zdrowe,
 A jedną tylko do spółki głowę...

Gdy się pobrali przed wielu laty,
 Jeden był—chudy, drugi—pękaty,
 Jeden był—nizki, drugi—wysoki,
 Gdzie kark miał jeden—drugi miał boki...
 Jeden, pokornie chadzał piechotą,
 Drugi zaś konno jeździł z ochotą,
 Jeden hołdował wieszczkom z zapalem,
 Drugi—umykał przed niemi czwałem...
 Jeden—nalewkę warzył siarczystą,
 Drugi—studzianką krzepił się czystą,
 Jeden—cygara kurzył hawańskie,
 Drugi—kanony ćmił franciszkańskie,
 Jeden był jurny, flegmatyk drugi...
 Słowem, przeciwieństw stek był tak długi,

Że, choćbyś siła dowodów użył,
Nikt—t a k i e j wspólnie szczęścia nie wróżył...

Lecz ot! po latach pracy wytrwalej,
Tak się sprzeczności te wyrównały,
Że nikt się dzisiaj o to nie spiera:
Że ponad Wolffa i Gebethnera,
Ponad dwie kwinty w śpiewnym duecie,
Niema zgodniejszej spółki na świecie!
Odwiedźcie tylko znaną księgarnię,
A duszę waszą zachwyt ogarnie,
Gdy zobaczycie, jak ci wspólnicy
Zgodnie—banknoty liczą w skarbnicy...
Jak harmonijna tam atmosfera
Z każdego kąta jasno wyziera,
Jak przeciwieństwa—z kądiną wrogie—
Pędzą tam życie przyjemne, błogie...

Pod dobroczynnym fortuny wpływem
Obaj wspólnicy—silnem ogniwem
Sprzęgli się w jedną duszę i ciało...
Z różnic dawniejszych—nic nie zostało!
Obaj są dzielni, obadwaj zuchy,
Pękate mają kabzy i brzuchy,
Jednakie gusta do uciech świata...
Już dziś i Robert chyłkiem nie zmiata,
Gdy, kawalerskie zawodząc śpiewki,
Gustaw mu sławne kropi n a l e w k i,
I, z pięknej strony malując życie,
Do zdrad małżeńskich namawia skrycie...
Mógłbym tych grzeszków wytknąć legiony.
Ale zamilczę... przez wzgląd na żony...
W takt równomierny pracując dalej
Wspólnicy—synów się doczekali...
A tak szli zgodnie z sobą w zawody,
Że owe płonki—jak krople wody,

Są do swych ojców podobne z miny,
Z swych upodobań, gestów, czupryny...

Jeden, wysmukły, wiotki blondynek,
To nieodrodny—Roberta synek,
Drugi—czupurny, krępy, ognisty,
To znów Gustawa syn oczywisty...
Obaj już, idąc za ojców śladem,
Trzęsą księgarskim firmy zakładem,
Obaj—badają smak czytelniczy...
I chcą ożywić ruch wydawniczy..

Jeden—którego gusta są znane,
Ilustrowaną chce wydać „Nanę“...
Drugi się większym planem mozoli,
Bo chce k o m p l e t n e dać dzieła Zoli...
I, by w nich złączyć wszystkie zalety,
Suchorowskiego chce dać winiety...
Jeśli zaś pójdą edycje owe,
To—artystyczną chce wznieść alkowę,
By, wśród gasnących lamp Edisona,
Každy mógł „Nany“ dotknąć się łona...

Wprawdzie to jeszcze płonne zamiary...
Bo, szczęściem, Gustaw jest jeszcze jary,
I Robert *Lupus* ma zęby jeszcze...
Oni te plany niszczą złowieszcze
I, by uśmierzyć synów nalogi,
Każą im pisać n u t k a t a l o g i,
Lub, dla zduszenia takich wybryków,
Czytać korekty—m o d l i t e w n i k ó w...
Więc się nie trwóźcie, matki! ojcowie!
Młodym—jak młodym—pali się w głowie,
Radziby ojców pchnąć na tor nowy,
Prześcignąć ręczość firmy Ungrowej,
Lecz to nie łatwa z starymi sprawa!
Dla nich księgarstwo—to nie zabawa!

To święty zawód, to m i s y a, panie!
 Wydawać książki mądre—a tanie,
 Badać puls życia, jego potrzeby,
 Szerzyć oświatę wśród ojców gleby,
 Mieć dla autorów kieszeń ofiarną,
 I dziatwie rzucać pożywne ziarno,
 Na czytelnictwa niwie jałowej
 Krzepić plon nauk, rodzimy, zdrowy,
 Oto—w czem główna treść się zawiera
 Zasługi Wolffa i Gebethnera!

Gdy ćwierć stulecia znowu upłynie,
 Znów się zbierzemy o tej godzinie
 I przy biesiadnym, wesolym stole,
 Pełnić będziemy sędziowskie role,
 Sprawdzimy wówczas na zasług szali,
 Czy młodzi z ojców rad skorzystali,
 Czy z współką ojców idąc w zawody,
 Cnót wydawniczych dali dowody?
 A gdy się sprawdzą nasze nadzieje,
 Każdy z nas puhar wina naleje,
 I wzniesie toast gorący, szczery,
 Niech żyją Wolffy i Gebethnery!

Wycieczki zamiejskie, gromadnie przez redakcyę „Kuryera” na Saską Kępę urządzone; składkowe, skromne biesiady na trawie, przy akompaniamencie okrzyków zręcznego Gecla: *pik! pik! szanzio pik!* i orkiestry melancholijnych żydków, którzy z zalecenia Czapelskiego ekspozowali zupelne wydanie majufesu, z dodatkami i wariantami na nutę krakowiaka — również do miłszych wspomnień z epoki, o jakiej mowa, należą i zasługują na dobrą pamięć w gro-

nie, dziś już podstarzałych i osiwiałych, ich ongi uczestników.

*

*

*

Ku schyłkowi roku 1886 nastąpił zgon Wacława Szymanowskiego, a z tą chwilą rozluźnił się węzeł spójności, jaki dotychczas sprzęgał wydawnictwo z jego pracownikami, i spowodował wreszcie stanowcze między nimi zerwanie. Drobne nieporozumienia w łonie redakcyi, wobec braku owego kitu, który jednoczył ściśle między sobą rozmaite sprzeczne żywioły, przeszły w stan zapalny. Sprowadzeni lekarze-prawnicy uznali, że ów stan może łatwo przejść w niebezpieczne zaognienie i dla tego uradzili stanowczą amputację, w formie rozwiązania spółki dotychczasowej...

Po długich rokowaniach określona została przez firmę Gebethnera i Wolffa suma, za którą spadkobiercy Szymanowskiego mieli prawo zatrzymać wydawnictwo na rzecz własną, lub też poprzestać na jej otrzymaniu od Gebethnera i Wolffa i zostawić im własność „Kuryera.”

Spadkobiercy Szymanowskiego wybrali drogę pierwszą, a gdy rokowania z hrabią K. o zaliczenie potrzebnego kapitału rozchwiały się, zwrócili się oni do jednego z poważniejszych wydawców, S. Lewentala, z propozycją przystąpienia do spółki. Tym razem układy doprowa-

dzily do požadanego dla stron obu rezultatu i wydawca b. „Klosów”, splaciwszy udziały Gebethnera, Wolffa i Wł. Bogusławskiego, zawiązał ze spadkobiercami Szymanowskiego długoletnią współkę.

Redakcyja naczelna „Kuryera” pozostała i nadal przy Franciszku Olszewskim, który, jako członek rodziny Szymanowskich, już po śmierci redaktora kierownictwo pisma urzędownie prowadził.

Gebethner i Wolff, zachęceni namowami swych przyjaciół, nabyli na własność wydawnictwo „Kuryera Codziennego”, a za nimi pociągnęło wielu z dawniejszych współpracowników Szymanowskiego, między innymi takie siły, jak np.: Bogusławski, Prus, Sabowski.

Zdawało się, że „Kuryerowi Warszawskiemu” niepomierne zaszkodzi owa tłumna emigracyja osobistych przyjaciół Gebethnera i Wolffa do nowego obozu, lecz siła rozpędu owego pisma była już tak niespożyta, że, jak okazało doświadczenie, „Kuryer Warszawski” nietylko nic ze swej dawnej popularności nie utracił, lecz nawet, pod sterem młodego swego, bardzo rzutkiego i pomyslowego redaktora i przy znacznym nakładzie pracy i kapitału, zyskał wiele na żywotności.

W nowym składzie redakcyjnym, w którym i wielu z dawniejszych pracowników pozostało, „Kuryer Warszawski”, ani na jotę nie odstępując

od swego dawniejszego typu, do którego już się oko czytelników przyzwyczało, postarał się z powodzeniem o zjednanie sobie opinii najlepiej informowanego i informującego pisma.

Siła okoliczności oddziałała nieco na jego tradycyjne rozmiłowanie się w ciasnym kółeczku miejskich wyłącznie interesów, lecz, w gruncie rzeczy, pozostał „Kuryer” wierny owym tradycjom, które go uczyniły, niezaprzeczenie, jednym z najbardziej rozpowszechnionych i najpoczytniejszych pism polskich.

525

K O N I E C.

S P I S R Z E C Z Y.



Str.

WSTĘP	3
ROZDZIAŁ I. Agonia „Kuryera Warszawskiego”. — Dmuszewski i jego następcy. — Karol Kucz. — Narodziny „Kuryera Codziennego”. — Pani Zablocka. — Zaborowski. — Odyniec. — Reklama na scenie. — „Codzienny” górą! — Miron. — Układ Szymanowskiego z Gebethnerem i Wolffem. — Chęciński. — Aleksander Walicki	6
ROZDZIAŁ II. Pomyślne początki. — Frykcy. — Aleksandrowicz i Statkowski. — Polemika z „Gołosem”. — Wzrost prenumeraty. — Nieporozumienia. — Ustąpienie Statkowskiego. — Zawieszenie wydawnictwa. — Herman Benni	12

ROZDZIAŁ III. Obozy i kółeczka. — Waclaw Szymanowski. — Wpływ Henryka Rzewuskiego.—Uczony a literat.—Kronikarz i feljetonista. — Rozczarowanie pana Waclawa. — Interpelacya Świętochowskiego. — Odpowiedź Szymanowskiego	17
ROZDZIAŁ IV. Aspiracye i ambycyjki pana Waclawa. — Niezrównany deklamator.—Karkołomne rymy.—Produkcye rymów białych.—Audytorjum Szymanowskiego	23
ROZDZIAŁ V. Życie redakcyjne.—Bibki.—Pianino urzędowe.—Sienkiewicz.—Bliźniński.—Anczyc.—Jenike.—Ojciec Wincenty.—Leo.—Felicjan.—Reprezentant prenumeratorów. — Niespodzianka. — Odysea wydawców.—Nowa maszyna.—Man muss putzen! — Zgon Zabłockiej.—Format nowy	33
ROZDZIAŁ VI. Pan Waclaw u siebie.—Fatersztul, szlafrok i fez. — Wspaniała kolekcya cygarniczek. — Kij Paracelsa. — Mistycyzm Szymanowskiego. — Ekierki, seanse i wirujące stoliki.—Sędziwój.—Kuryer a Kuryerek.—Jubileusz Kucza.—Totek Lebrun. — Zemsta. — Popiel i Kucz	39
ROZDZIAŁ VII. Przyboczni pana Waclawa	

wa.—Nieproszony sekretaryat.—Podróż do Lublina.—Inżynier i jego pomocnicy.—Antykwaryusz.—Dziwna ignorancja.—Brajbisz!—Słabostki szykowca.—Komplecik Gawalewicza	44
ROZDZIAŁ VIII. Przed burzą.—Artykuł Lubowskiego.—Kampania młodszych.—My i wy!—Juste milieu.—Wewnętrzne ulepszenia.—Honorarja.—Jubileusz Szymanowskiego.—Toast palestranta	50
ROZDZIAŁ IX. Miron.—Sobowtór Musseta.—Idelna trójca.—Weltschmerz.—Lazury i bruk uliczny.—Modrzejewska.—Pieśni.—Pchła i rabin.—Atak flankowy.—Miron sobą i u siebie.—Ongi a dziś	58
ROZDZIAŁ X. Władysław Bogusławski.—Estetyk i dziennikarz.—Feljetony teatralne.—Siły i środki.—Słoń Łuniewski.—Vis inertiae.—Natchnienie i chłopak redakcyjny.—Siesty pana Kazimierza	63
ROZDZIAŁ XI. Stanisław Krzemiński.—Filozofia i życie.—Dzieło niedokończone.—Le mieux c'est l'ennemi du bien.—Erudycja.—Arena właściwsza.—Człowiek i kolega	66
ROZDZIAŁ XII. Binom Newtona i literatura.—Bolesław Prus.—Treny na śmierć	

Azorka.—Pierwsza wizyta.—Delegacya do Prusa.—Great attraction.—Partyjki szachowe.—Papirówki.—Talent z Bożej łaski.—Realizm domorosły.—Kroniki tygodniowe	72
ROZDZIAŁ XIII. Sfery teatralne.—Komedyopisarze.—Kazio Zalewski.—Prawnik-dziennikarz.—Spiritus flat.—Wzajemna adoracya.—Mistrz i uczeń . . .	76
ROZDZIAŁ XIV. Edward Lubowski.—Nietoperze.—Współzawodnictwo.—Maryan Gawalewicz.—Benjaminek redakcyjny.—Milusińscy	80
ROZDZIAŁ XV. Wiktor Gomulicki.—Poezya i życie.—Umiłowania.—Nerwy i robota dziennikarska.—Pamiętna chwila.—El mole rachmim	84
ROZDZIAŁ XVI.—Antyteza.—Adam Niemirowski.—Bibliografia notaryatu.—Poliglodyzm.—Dziwny rachunek.—Franciszek Olszewski.—Bronisław Zawadzki.—Czesław.—Teodor Jeske-Choiński.—Przyrodnik kuryerowy.—Asekuracya i apopleksya.—Filipowski.—Szober.—Jeleński.—Goraj.—Aron szaradzista.	91
ROZDZIAŁ XVIII. Najazd Gallów.—Tadzio a Tadeusz Czapelski.—Jego poprzednik.—Feliks Fryze.—Podróż pod	

obłoki i za ocean. — Trwogi pana Wacława. — Sekretaryat „Kuryera”. — Zenit powodzenia. — Płaszcz hidalga i ponsowy krawacik Czapelskiego	96
ROZDZIAŁ XVIII. Wykolejone, nadłamane i złamane egzystencye. — Wołody Skiba. — Praca dla chleba i czwarty wymiar	100
ROZDZIAŁ XIX. Pan Zygmunt. — Legatowicz, Węgierski i dramat Fredry. — Dziwne roztargnienie. — Nos Czerniejewskiego. — Urbaś Sobolewski. — Ceny targowe drobiu. — Dział ogłoszeń. — Najpożyteczniejszy pracownik	104
ROZDZIAŁ XX. Wydział dobroczynności. — Pani Aniela i Bijou. — Artyści i obieżyświaty. — Neville. — Bibka brytańska u Boqueta. — Rymokleci. — Kosz redakcyjny. — Niewiasty piszące. — Jubileusz wydawców. — Gustaw i Robert. — Toast palestranta. — Pan Gecel. — Zgon Szymanowskiego. — Aventyńska góra. — Zmiana redakcyi i wydawców	000

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Sienna № 2) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1911.

	CENA	
	w opr. brosz.	kop. kop.
671, 672. Marya Rodziewiczówna. MAGNAT	1.10	80
673. Szymon Tokarzewski. POŚROD CYWILNIE UMARŁYCH. Obrazki z życia Polaków na Syberyi	55	40
674, 675, 676, 677. Gabryela Zapolska. JANKA. Powieść	2.20	1.60
678. Pöhn. KSIĘGA MĄDROŚCI ŻYCIA	55	40
679, 680. Witold Szyszło. POD ZWROTNIKAMI	1.10	80
681. Zygmunt Różycki. FIGLE MŁODEGO SATYRA	55	40
682 683. Anatol France. PAMIĘTNIK MEGO PRZYJACIELA. Przekład z francuskiego Zofii Wróblewskiej	1.10	80
684, 685. Alexy Kurcyusz. BRAZYLIA.	1.10	80
686. Tadeusz Konczyński, ŚLADEM TĘSKNOTY. Powieść	55	40
687. Przerwa-Tetmajer. OTCHŁAŃ. Powieść	55	40
688, 689. Alfred Binet. POJĘCIA NOWOCZESNE O DZIECIACH	1.10	80
690, 691. PAMIĘTNIK HENRYKA DEMBIŃSKIEGO generała wojsk polskich	1.10	80
692, 693. Teodor de Wyzewa. GWALBERT, czyli opowiadanie młodego człowieka	1.10	80
694. Pamiętniki ks. Maryi Wołkońskiej	55	40
695, 696. J. Wazow. W WALCE O WOLNOŚĆ, z bułgarskiego powieść	1.10	80

Tom.	CENA	
	w opr.	broszk. kop. kop.
697—709. Lew hr. Tolstoj. WOJNA I POKOJ. Rok 1812. Romans historyczny	6.00	4.00
710. Konstancya Bielska. JEDENASTE PRZY- KAZANIE. (Nie będziesz miał serca)	55	40
711, 712. Andrzej Lichtenberger. NASZA MI- NIA. Powieść. Przekład z francuskiego Wacławy Kiślańskiej	1.10	80
713. Wiktor Gomulicki. DWA ROMANSE	55	40
714. M. Helys. KWIATY Z ZAMKNIĘTEGO OGRODU. Szkice z życia kob. w Turcyi	50	40
715, 716. Ks. d'Abrantés. CESARZOWA JO- ZEFINA. Pamiętnik z czasów I ce- sarstwa	1.10	80
717. Juhani Aho. DO HELSINGFORSU. Po- wieść z fińskiego, tł. Klemensiewiczowa	55	40
718, 719. Rudyard Kipling. ZWODNE ŚWIA- TŁO. Powieść	1.10	80
720. Józef Jankowski. MAGIA PIĘKNOŚCI	1.10	75
721. Zygmunt Michałowski. LISTY DZIKIEJ JADZI	55	40
722. Jerome K. Jerome. UMIEJĘTNOŚĆ PO- STĘPOWANIA Z KOBIETAMI	55	40
Rok 1912.		
723. Żmijewska. ZDALEKA I ZBLISKA	55	40
724. K. Tetmajer. ZAWISZA CZARNY. Obraz dramatyczny	55	40
725, 726. M. Rodziewiczówna. NIEOSWOJONE PTAKI	1.10	80
727. Ejsmond. BAJKI I PRAWDY	55	40
728, 729. W. Kosiakiewicz. GĄSIORKOWSKI	1.10	80
730, 731, 732, 733. G. Zapolska. SZMAT ŻYCIA-	2.10	1.60
734. M. Garzia. ZE ŚWIATA WEWNĘTRZ- NEGO ROZMYŚLANIA, przeł. z hisz- pańskiego J. Lutosławska	55	40
735. Brzostowski. ZE WSPOMNIEN O KRA- SZEWSKIM	55	40
736, 737, 738. Ignat Herrmann. TEŚĆ KONDE- LIK I ZIEĆ WEJWARA. Powieść	1.65	1.20
739 740. Wł. Jaglątkowski. NA BRZEGACH SENEGALU. Z przygód polskich na ob- czyźnie	1.10	80

		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
741.	Pabst. WYCHOWANIE PRAKTYCZNE	55	40
742, 743.	Ks. Radziwiłłowa (LUDWIKA PRUSKA. Rok 1770—1815). Pamiętniki	1.10	80
744, 745.	Edmund Chojecki. (CHARLES-EDMOND) HARALD. Powieść	1.10	80
746.	A. Dygasiński. AS. Powieść	65	50
747.	P. A Sinett. SWIAT TAJEMNY	55	40
748.	W. Rapacki (Senior). OBRAZKI Z PRZE-SZŁOŚCI	55	40
749, 750, 751.	J. Kraszewski. NERA. Powieść	1.65	1.20
752—760.	Hr. Lew Tołstoj. ANNA KARENI-NA. Powieść.	4.95	3.60
761—763.	M. Gawalewicz. DRUGIE POKOLE-NIE. Powieść	1.65	1.20
764, 765.	Selma Lagerlöf. ZWIĄZKI NIEWI-DZIALNE	1.10	80
766—768.	Hr. de Ségur. PAMIETNIKI ADJU-TANTA CESARZA NAPOLENA I	1.65	1.20
769.	L. Romocki. SZCZĘŚCIE ZBOSKICH. Kronika rodziny polskiej w XIX wieku	55	40
770.	Stanisław Kozicki. SPRAWA WSCHO-DNIA	55	40
771.	Józef Maciejowski. Z DZIENNIKA PEN-SYONARKI. Romans	55	40
772.	Z Krasieński. WYBÓR POEZYI	1.15	75

Rok 1913.

773.	Włodz. Perzyński. PANI CZAJKOWSKA	55	40
774 — 775.	Marya Rodziewiczówna. MIEDZY USTAMI A BRZEGIEM PUHARU	1.10	80
776.	Seweryn Bukar. PAMIETNIKI Z KOŃCA XVIII i POCZĄTKÓW WIEKU XIX	55	40
777—779.	Gabryela Zapolska. WE KRWI. Po-wieść współczesna	1.65	1.20
780.	Julian Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYU-MICZNE	90	75
781—783.	Anna Vivanti. POZERACZE (I di-visoratori). Powieść	1.65	1.20
784, 785.	Hr. Sierakowski. LISTY Z PODRO-ŻY. 1) Podróż do Jerozolimy, 2) Podróż do Włoch. 2 tomy	1.10	80

		CENA	
		w opr.	brosz.
		kop.	kop.
786, 787.	J. Ochorowicz. ZJAWISKA MEDYUMICZNE. 2 tomy.	1.30	1.00
788, 789.	Kazimierz Przerwa-Tetmajer. PANNA MERY. Powieść. 2 tomy.	1.10	80
790, 791.	PAMIĘTNIK LADY FRANCISZKI SHELLEY (1787 — 1817). Czasy wielkich wojen napoleońskich i przewrotów politycznych na przełomie dwóch wieków w oświeceniu ówczesnego dworu i wyższego towarzystwa angielskiego	1.40	1.10
792—794.	K. Gliński. PAN FILIP Z KONOPKI. Powieść	1.65	1.20
795.	G. Meyrs. JAK SIĘ DOCHODZI DO WIELKICH FORTUN	55	40
796.	Z. Rabska. LISTY MIŁOSNE	55	40
797.	W. Szyszło. WSRÓD MOCZARÓW I JEZIOR FLORYDY	55	40
798.	Hajota. ŚLUBNA OBRĄCZKA	55	40
799—804.	Teodor Dostojewski. BRACIA KARAMAZOW	3.30	2.40
805 — 806.	Adam hr. Sierakowski. LISTY Z PODROŻY (Grecya, Hiszpania, Egipt)	1.10	80
807, 808, 810.	G. Wells. HISTORIA P. POLLY (powieść)	1.65	1.20
809.	M. Sizeranne. NIEWIDOMY O NIEWIDOMYCH	55	40
811.	Adolf Dygasiński. VON MOLKEN	55	40
812—813.	Tad. Wyleżyński. BITWA POD LIPSKIEM (Lützen, Bautzen, Lipsk)	1.10	80
814—815.	H. Romer-Ochenkowska. MAJAKI (powieść)	55	40



ZAKŁAD
ARTYSTYCZNO-GRAWERSKI
STANISŁAWA LIPCZYŃSKIEGO

Dostawcy Towarzystw Sportowych

w WARSZAWIE

Marszałkowska 149.
Róg Próżnej.

Telefon 134-84

PODWALINĄ BYTU

każdego człowieka jest właściwe i higieniczne odżywianie w latach dziecięcych

MĄCZKA MLECZNA
NESTLÉ'a

jest uznana przez największe powagi lekarskie jako najodpowiedniejszy pokarm dla niemowląt i dzieci.

Towarzystwo Akcyjne
„Fr. Karpiński”

w Warszawie

ul. Elektoralna 35, telefon 600

poleca

Karpińskiego

Mydło Alkaliczne

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, potyskującą skłoną do wągrów i pryszczy, oraz przy łuszczeniu się skóry. Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

Karpińskiego

Mydła Alkalicznego Nr 2

Cena kop. 40 za szt.

Karpińskiego

Mydła Ogórkowe

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegł.

Cena kop. 50 za szt.

Karpińskiego

Mydło Neutralne

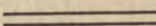
znakomity środek higieniczny do pielęgnowania twarzy, rąk oraz ciała u dzieci. Cena k. 40 za szt.

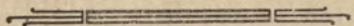
Żądać wszędzie

Istniejący od roku 1805.

Zakład Ogrodniczy
i Skład Nasion

C. ULRICH

w Warszawie  Ceglana 11.


Poleca w wielkim wyborze:

NASIONA WARZYW
NASIONA KWIATÓW
NASIONA ROLNE
NASIONA TRAW
CEBULKI KWIATOWE

Drzewa owocowe w koronach
Drzewa i krzewy ozdobne
Drzewa alejowe i na solitery
Róże pienne i krzaczaste.
SZPARAGI, TRUSKAWKI i POZIOMKI.

Narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne

PALMY, PAPROCIE, AZALJE, BZY
i DRZEWA LAUROWE.

IDEAŁEM WANNY



nazwać można, bez wszelkich zastrzeżeń JOHN A wanny „JAJAG“ z podgrzewaczem spirytusowym. Kąpiel gotowa w ciągu pół godziny kosztuje 12—15 kop. Do użytku o każdej porze i w każdym miejscu. Tysiące w użyciu. Opisy i ceny na żądanie darmo i oplatnie. Ważne dla prowincji

Tow. Akc. J. A. JOHN, Warszawa, Smolna 12, telefon 6309.

Pracownia i Magazyn wyrobów

**SREBRNYCH,
ZŁOTYCH I
z BRYLANTAMI
KAZIMIERZ**

BRETSZNAJDER

Warszawa, Marszałkowska 92.

Gabinety Dentystyczne

**ANTONIEGO
MOKRZYCKIEGO**

zostały przeniesione

na ul. Śrywańską № 16.

**DRUKARNIA
L. BOGUSŁAWSKIEGO**

Wykonywa wszelkie roboty drukarskie.

Warszawa, ul. Ś-to Krzyska 11, tel. 195-52.

NOWOŚĆ

AMERYKAŃSKA MASZYNA DO DODAWANIA

THE „GOLDEN GEM“



DODAJE RÓWNIIE DOBRZE, JAK NAJDROŻSZE MASZYNY TEGO RODZAJU.

NIEODZOWNA PRZY PRACY BIUROWEJ. MECHANIZM Z NAJLEPSZEJ STALI I MOSIADZU. NA ŻĄDANIE OPIS SZCZEG. BEZPŁATNIE.

WYŁĄCZNE PRZEDSTAWICIELSTWO I SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO I CESARSTWO:

Cena 35 rb.

**Bogusławski i Szczyrba, Warszawa,
Ś-to Krzyska 11, telefon 195-52.**

Na prowincję wysyłka pocztą za zaliczeniem, po otrzymaniu zadatku rb. 5. Zamawiający z lub więcej maszyn kosztów przesyłki nie ponoszą.

<http://rcin.org.pl/ific>